

Barbara Taylor Bradford

INNA MIŁOŚĆ

przełożyła
Zofia Kierszys



Prószyński i S-ka

Warszawa 1997

Rozdział 1

Gdy już było widać jezioro Waramaug, Jake Cantrell jechał coraz wolniej, aż nie opodał gospody Pod Głazami zatrzymał furgonetkę i wyjrzał przez okno.

Jezioro było nieruchome, spokojne, szkliste, prawie srebrne w świetle późnego popołudnia w ten chłodny dzień kwietniowy. Niebo zbiałałe wydawało się tak blade i zastygłe jak tafla jeziora. A wokół, kontrastując jaskrawo ze srebrem i bielą, wznosiły się faliście wzgórza w przepychu drzew soczyste ciemnozielonych.

Jake nie mógł nie zachwycić się znowu tym widokiem: sennym krajobrazem wody i nieba, wywołującym jakieś skojarzenia. Coś mu się przypominało, ale nie wiedział co... jakieś miejsce gdzieś, gdzie nigdy nie był, chyba że duchem - w Anglii, Francji czy we Włoszech, czy w Niemczech, czy może nawet w Afryce - gdzieś na świecie, po którym chciałby jeździć, gdyby kiedykolwiek miał taką możliwość. Zawsze marzył o podróżach, o egzotycznych krajach, ale jak dotąd, w ciągu tych swoich dwudziestu ośmiu lat życia, wypuścił się tylko kilkakrotnie do Nowego Jorku i dwa razy do Atlanty w odwiedziny do zamieszkałej tam obecnie jego siostry, Patty.

Przysłaniając oczy ręką, chłonąc widok ziemi, wody i nieba, sam sobie przytaknął - och tak, światło jest dzisiaj wprost niewiarygodne, niesamowite.

Zawsze światło go urzekało, zarówno naturalne, jak sztuczne. Instalowaniem sztucznego światła ostatnio zajmował się codziennie, a naturalne usiłował uchwycić na płótnie, ilekroć miał czas, żeby wziąć pędzel do ręki, zrobić sobie taką przyjemność. Szalenie lubił malować, chociaż wiedział, że nie wychodzi mu to dobrze. Malowanie cieszyło go akurat tak samo jak obmyślanie specjalnych efektów świetlnych. Teraz właśnie wracał z pracy, którą wykonywał na duże zlecenie, trudne, inspirujące, będące próbą jego zdolności i wyobraźni. Ogromnie lubił wyzwania.

Słyszając za sobą klakson jakiegoś zniecierpliwionego kierowcy, ocknął się z zadumy, przydepnął pedał gazu i ruszył dalej.

Jechał trasą 45 do trasy 341, do Kent. I wciąż czarowała go niezwykła klarowność światła, chyba jeszcze jaśniejszego, im bardziej oddalał się od jeziora na północ.

Niedawno sobie uświadomił, że to czyste, jasne światło jest miejscowe, charakterystyczne dla części stanu Connecticut, zwanej przez niektórych Górami Północno-Zachodnimi, a przez innych wzgórzami Lichtfield. Nieważne, jak ludzie nazywają ten obszar. Ważne tylko, że to obszar piękny, aż zapiera dech w piersiach - można by powiedzieć, prywatna kraina Boga, z tym niebem nadzwyczajnym, rozjarzonym czasami, jakimś zaświatowym, budzącym cześć.

Jake stosunkowo niedawno poznał ten szczególnie krajobraz, chociaż urodził się i dorastał w Hartford i mieszkał w stanie Connecticut przez całe dotychczasowe życie. Bez mała pięć lat temu przeniósł się do New Milford, rzadko jednak wyjeżdżał poza granice tego miasta. To znaczy, jeszcze rok temu. Ruszył się stamtąd, gdy ostatecznie rozstał się ze swoją żoną, Amy.

Po rozstaniu został w New Milford i prawie przez rok wynajmował niedużą pracownię przy ulicy Bankowej. Ale już jeździł po coraz dalszych okolicach, szukając dla siebie mieszkania wygodniejszego niż ta pracownia - najlepiej małego domku.

I nagle trzy miesiące temu przy trasie 341, niedaleko Kent, wypatrzył białą, oszalowaną drewnem chatkę. Kilka tygodni mu zabrało doprowadzenie jej do porządku. Przetraszał miejscowe składy ze starzyzną i chodził na wyprzedaże, kompletując meble. Był zdumiony tym, co udało mu się znaleźć, i cenami, jego zdaniem, bardzo umiarkowanymi. Zanim się obejrzał, jego chatka stała się niemal komfortowa.

Na zakończenie kupił w jednym z domów towarowych w Dansbury nowe łóżko, nowy dywan, wcale nie tani, i nowy telewizor. Wprowadził się trzy tygodnie temu i od razu poczuł się jak król w zamczysku.

Jechał szybko, nie myśląc o niczym szczególnie, po prostu wracał do domu.

- Do domu - nagle powiedział głośno. Tak mu się to spodobało, że aż się uśmiechnął. Do domu, do domu, do domu.

Dziwne, że w ciągu dziewięciu lat małżeństwa z Amy nigdy nie nazywał domem żadnego z ich kolejnych mieszkań. Zwykle mówił „nasze mieszkanie” albo „tam na ranczo” czy coś w tym rodzaju. Do dzisiaj słowo „dom” zawsze oznaczało dla niego tylko dom w Hartford, ten, w którym wychowywali go rodzice, John i Annie Cantrellowie, oboje zmarli przed kilku laty.

Ale teraz ten oszalowany mały domek przy trasie 341 był naprawdę Jake'a domem, przystanią, schronieniem. Stał w porządnym ogródku, otoczonym sztachetami, blisko stodoły, w której Jake pomieścił warsztat, a wokół rozciągały się łąki, też należące do tej posiadłości. Jake tę posiadłość wynajmował, poważnie jednak myślał o tym, że kiedyś ją kupi. Jeżeli dostanie kredyt w banku w New Milford. Jeżeli właściciel zechce sprzedać. Jedno i drugie „jeżeli” pozostało pod znakiem zapytania. No, ale też pozostawała nadzieja.

Niezależnie od innych zalet, ta siedziba znajdowała się dość blisko Northville, dokąd Jake kilka tygodni temu

przeniósł swoją firmę elektrotechniczną. Chciał zupełnie skończyć z New Milford, bo nadal tam mieszkała i pracowała Amy. Nie żeby powstała jakaś wrogość między nimi. Rzeczywiście, byli sobie życzliwi, chociaż się rozstali.

Amy z początku nie chciała słyszeć o separacji. W końcu jednak się zgodziła. Czy mogła się nie zgodzić? On odszedł od niej uczuciowo i fizycznie już dawno, więc co z tego, że mieszkali pod wspólnym dachem w New Milford? Tamtego dnia, gdy ostatecznie spakował swoje rzeczy i po raz ostatni postawił sprawę jasno, wykrzyknęła:

- Dobrze, Jake! Zgadzam się na separację! Ale zostanemy przyjaciółmi. Proszę cię!

Duchem nieobecny, jedną nogą za drzwiami chętnie na to przystał. Bo i cóż to szkodzi? Jeśli to ją urządza, tym lepiej. Wszystko, byleby wreszcie uciec, wycofać się spokojnie, bez jeszcze jednej awantury.

Przez chwilę Jake myślał o Amy. Z wielu powodów było mu jej żal. Ona nie jest zła. Jest tylko nudna, nie ma wyobraźni i jakoś potrafi zgasić każdą radość. W ciągu tych lat stała się ciężarem, pod którym się ugiął, zgnębiony jak nigdy przedtem.

Jake wiedział, że jest szybki, bystry, inteligentny. Zawsze był taki. Od swego dawnego szefa w Bolton Electric wciąż słyszał, że ma iskrę bożą do światła i efektów specjalnych. Dzięki swoim zdolnościom, energii i ciężkiej pracy wspinał się trochę w górę. Chciał wspiąć się wyżej, ale Amy ściągała go w dół.

Amy zawsze się bała. Bała się każdej zmiany, bo może wyjść tylko na gorsze, każdego kroku naprzód, podjętego, żeby było lepiej jemu, im obojgu, żeby mogli żyć na trochę wyższej stopie. Przed dwoma laty miała do niego wielką pretensję o to, że odszedł z Bolton Electric i założył własną firmę.

- To na nic, to się nie uda. I co wtedy z nami będzie? - lamentowała. - Zresztą jaki tam z ciebie przedsiębiorca? - I tak dalej i dalej, biadała, zdenerwowana, mizerna i bla-

da, z ustami jak kreska. Aż w końcu zaopiniowała: - Jesteś nie najgorszym elektrotechnikiem, Jake. Wiem o tym. Ale nie masz głowy do interesów.

Rozzłościła go. Patrząc na nią spode łba, odparował:

- Skąd ty wiesz, do czego mam głowę? Od lat ciebie nie obchodzi, co myślę i co robię!

Zagapiła się na niego, wyraźnie wstrząśnięta, a przecież tylko powiedział prawdę. Teraz, gdy to sobie przypomniał, zaczął rozmyślać o ich małżeństwie. Amy przestała się nim interesować już w drugim roku.

Westchnął cicho. Wszystko zrobiło się takie smutne i zniechęcające. Dlaczego? Dorastali w Hartford razem, od dzieciństwa ona była jego ukochaną, on był jej ukochanym, i pobrali się zaraz po ukończeniu szkoły. No, prawie zaraz. W tamtych czasach przyszłość migotała przed nim promienna, pełna obietnic.

On miał ambicje i marzenia. Niestety, ona nie miała żadnych. Po paru latach zdał sobie sprawę, że Amy nie tylko usiłuje bardzo wytrwale nie dopuszczać do zmian, ale rzeczywiście się ich boi.

Ilekcioć planował jakiegokolwiek ulepszenie, cokolwiek, co mogłoby prowadzić do większego dobrobytu, oblewała go zimną wodą. Po pięciu latach małżeństwa czuł się tak, jakby w tej zimnej wodzie nieomal już utonął. Przyszłość z Amy majaczyła ponura, ciemna, bez światełka obietnicy czy radości. Zaczął coraz bardziej się od żony oddalać.

A ona, komentując się swoją znojną codziennością, nawet tego nie zauważała. Mieszkał z nią, ale przy niej właściwie go nie było.

Chodził samopas. Miał parę romansów na boku i odkrył, że nawet nie poczuwa się do winy. Również uprzytomnił sobie wtedy - mniej więcej dwa lata temu - że przedłużanie tej sytuacji jest bezcelowe. Z natury był wierny. Sam fakt jego niewierności dowodził, że z małżeńskiej więzi nie zostało nic do uratowania. W każdym razie dla niego.

Swoją apatią i lękiem, brakiem wiary w niego i jego zdolności Amy zabiła ich małżeństwo. I przekreśliła nadzieje.

Każdemu nadzieja jest potrzebna, każdemu potrzebne są marzenia. Co człowiek ma w tym życiu, na litość boską, jeśli nie możliwość marzeń? Amy marzenia tratowała.

A jednak Jake jej nie potępił. Żał mu jej było - może dlatego, że znał ją tak długo, od dzieciństwa. I wiedział, że nigdy nie chciała mu sprawić przykrości.

Znowu westchnął. Amy niewiele daje z siebie, toteż niewiele dostaje. Wiele ją w życiu omija.

Jest nadal ładną, pastelową blondynką, ale nic nie robi, żeby podkreślić swoją delikatną urodę, więc wydaje się spłowiata, bezbarwna.

Nie wyjdzie drugi raz za mąż, pomyślał raptem i jęknął. Prawdopodobnie będzie płacił alimenty aż do grobowej deski. Swojej albo jej. Ale pal to lichu! Wiedział, że zawsze może zarobić pieniądze. On w siebie wierzył.

Już dojechał do swego białego, oszalowanego domu. Zaparkował furgonetkę przed garażem. Wszedł do domu kuchennymi drzwiami.

Dom, pomyślał i rozejrzał się po kuchni. Uśmiechnął się. Jestem u siebie, pomyślał, jestem wolny. Miał własną firmę, zaczynało mu się dobrze powodzić. Przyszłość znowu jaśniała. Marzenia pozostały, a więc nikt nie mógłby mu ich zabrać. Był w zgodzie z samym sobą. W zgodzie ze światem. I nawet w zgodzie z Amy - na swój sposób. W końcu się z nią rozwiódł, pomyślał, i rzeczywiście nasze drogi się rozejdą.

I jeżeli mi szczęście dopisze, spotkam kiedyś kobietę, w której się zakocham. I - oby! - będę miał dziecko. Może nawet dzieci. Żona, dom, rodzina, firma. Tego zawsze chciał, uważał, że to fundamentalne i proste. Bez żadnych komplikacji. A przecież Amy sprawiła, że wydawało się nieosiągalne, bo ona tego nie chciała. Nie chciała nawet mieć dziecka. Bała się.

- A jeżeli coś pójdzie źle? - zapytała pewnego dnia, gdy powiedział, że pragnie być ojcem. - Jeżeli urodzi się niedorozwinięte? Co byśmy wtedy zrobili, Jake? Nie chcę dziecka z felerem.

Przerażony patrzył na nią, marszcząc brwi, nie pojmując, jak ona może mówić coś takiego. Właśnie wtedy zapłonął w nim gniew, tłący się potem długo.

Ponad rok temu doszedł do wniosku, że Amy, odkąd się pobrali, okrada go z życia. To zbrodnia. No, ale pozwalał jej na to, czyż nie? Ten jest ofiarą, kto zgadza się nią być, przed laty powiedziała mu matka. Powinien tę przestrogę pamiętać.

Usiłował pomóc Amy, żeby się zmieniła, ale ona tylko patrzyła na niego pustym wzrokiem, nie rozumiała, o co mu chodzi.

Nagle zniecierpliwiony, Jake otrząsnął się z myśli o żonie. Ostatecznie jest teraz panią siebie, zakonkludował. Tak jak ja, może stanowić o sobie.

Otworzył lodówkę, wyjął piwo, zdjął kapsel, po czym oparł się o zlew i pił, rozkoszując się, że takie zimne, takie dobre. Piwo prosto z butelki najlepiej smakuje.

Usłyszał dzwonek telefonu. Sięgnął po słuchawkę.

- Halo?

- Jake? To pan?

Wyprostował się lekko. Poznał, czyj to głos.

- Tak, ja. Jak się pani miewa?

- Świetnie, dziękuję. Nie zapomniał pan, że dziś mamy się spotkać?

- Nie, nie zapomniałem. Tylko mi się wszystko opóźniło. Dopiero co wróciłem z pracy. Ale raz-dwa przyjadę. Naprawdę.

- Niech pan się nie zabija. Sama jestem spóźniona. Spotkamy się już w teatrze.

- Dobrze. - Spojrzał na kuchenny zegar. Było wpół do szóstej. - Za godzinę?

- Może być za godzinę. To na razie.

- Do widzenia. - Położył słuchawkę.

Dopił piwo i poszedł do sypialni. Ściągnął buty, dżinsy, gruby sweter i bieliznę, nago pomaszerował do łazienki pod prysznic.

W pięć minut później już się wycierał. Włożył płaszcz kąpielowy i przeszedł do swego niedużego saloniku.

Stanął przed półką z płytami przy wieży. Muzykalność i miłość do muzyki, zwłaszcza klasycznej i operowej, odziedziczył po matce. Matka miała piękny głos i dzięki niej poznał dzieła Verdiego i Pucciniego, jak również Mozarta, Rachmaninowa, Czajkowskiego i innych wielkich kompozytorów. Zawsze ubolewał, że matka nie mogła szkolić głosu należycie, bo jego zdaniem, był to sopran godny Metropolitan w Nowym Jorku.

Odruchowo wybrał jedną z jej ulubionych oper, „Toskę” Pucciniego, ale zaraz odłożył tę płytę Marii Callas z powrotem i wyjął inną: wybór arii Pucciniego i Verdiego w wykonaniu Kiri Te Kanawa, gwiazdy operowej, której śpiew po prostu kochał. Nastawił dźwięk odpowiednio głośno i, wracając do łazienki, zostawił drzwi otwarte, żeby słyszeć.

Przejrzał się w lustrze nad umywalnią, przesunął ręką po podbródku. Nie ma rady, trzeba się ogolić. Namydlił podbródek, oskrobał żyletką, opłukał twarz, przejechał grzebieniem po swych mokrych czarnych włosach i wrócił do sypialni, podczas gdy Te Kanawa śpiewała arie z „Don Carlosa”, „Trubadura” i „Traviaty”.

I jeszcze śpiewała Verdiego, gdy już ubrany, w czystych niebieskich dżinsach, koszuli w biało-niebieską kratkę i w szafirowej sportowej marynarce, wszedł znów do saloniku.

Najbardziej lubił arię „Vissi d'Arte” z „Toski”, więc przechodząc obok wieży, nacisnął ten numer. Usiadł. Nie chciał się spóźnić na spotkanie z Samantha Matthews, ale po prostu musiał jeszcze tego posłuchać.

Cudowny głos Te Kanawa nappełniał pokój, wzbijał się pod krokwie, a on siedział zasłuchany, poddawał się muzyce, której piękno i smutek zawsze go wzruszały.

Te Kanawa, jako Tosca, żaliła się, cierpiała w swojej ciężkiej godzinie próby. Słuchał z oczami zamkniętymi, wtulając głowę w oparcie fotela.

I niespodziewanie coś ścisnęło go w gardle. Pod powiekami miał łzy. Tęsknił za czymś... właściwie nie wiedział, za czym... pragnął pełni uczuć. Wiem, pomyślał, wiem, że jest, musi być w życiu coś więcej.

Muzyka go zalewała, odprężała, i siedział tak bez ruchu jeszcze przez jakiś czas, gdy aria się skończyła. Zmarszczki zatroskania na jego ostro rzeźbionej, szczupłej twarzy wygładziły się trochę.

Ocknął się, wstał z fotela, wyłączył wieżę. Powinien być w Kent za pięć minut. Tak szybko tam nie dojedzie.

Wyszedł z domu przez kuchnię, pobiegł do furgonetki.

Jadąc do Kent, myślał o czekającym go spotkaniu z Samantha Matthews. Poznał ją kilka tygodni temu, podczas wykonywania dużego zlecenia w rezydencji klienta pod miasteczkiem Washington. Samantha, projektantka i producentka niezwykłych tkanin, miała tam ozdobić wnętrza. Mieszkała w Washington.

Zaczął rozmawiać z Samantha któregoś dnia, gdy pracowali w rezydencji. Interesowały ją specjalne efekty świetlne, jakie wprowadzał w tym domu i w parku wokół.

Po kilku dniach zatelefonowała do niego z zaproszeniem. Zaprosiła go ni mniej, ni więcej, tylko do pracy nad scenografią sztuki w teatrze amatorskim w Kent.

Ostatecznie zgodził się przyjechać na spotkanie w tej sprawie. Właśnie dzisiaj. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Czy to będzie spotkanie pierwsze i ostatnie, czy pierwsze z wielu.

Chociaż nie powiedział tego Samancie, podniecała go myśl o pracy dla teatru, choćby to był tylko jakiś amatorski zespół, taki jak ten jej. Wspaniałe wyzwanie, nowe doświadczenie, poszerzające zakres jego umiejętności.

W drodze do Kent, rozmyślając o różnych sposobach stosowania świateł, Jake Cantrell nie wiedział, że ta droga

prowadzi go pośpiesznie ku przeznaczeniu. Ani też nie mógł wiedzieć, że wkrótce jego życie gruntownie się zmieni i już nigdy nie będzie takie, jak było.

Później, gdy wspominał ten wieczór, dziwił się - jakież to wtedy wydawało się zwyczajne. I zadawał sobie pytanie, dlaczego nie wyczuł, że stanie się rzecz doniosła. Dlaczego tak bezwiednie jechał prosto w nowe życie?

Rozdział 2

Samantha Matthews podniosła wzrok znad skryptu, w którym coś notowała. Marszcząc brwi, popatrzyła poprzez stół na swoją przyjaciółkę, Maggie Sorrell.

- No, Maggie teraz mi mówisz, że źle wybrałam sztukę! Kiedy ja już mam skompletowaną obsadę i wszyscy z zapalem uczą się ról! - wykrzyknęła.

- Tego nie mówię - zaprotestowała Maggie. - Tylko pytam, dlaczego właśnie tę wybrałaś! Po prostu zastanawiam się głośno.

- Tak czy owak, pytanie zabrzmiało potępiająco.

- Ależ skąd, Sam!

- Więc powątpiewająco.

- Też nie. Dobrze wiesz, że nigdy co do ciebie i twoich planów nie mam wątpliwości. Rzeczywiście tylko się zastanawiam, dlaczego właśnie ta sztuka, a nie inna. Nic poza tym.

Samantha pokiwała głową.

- W porządku, wierzę ci, niezłomna druhno wierna na wozie i pod wozem przez te wszystkie lata. Jesteś moją najserdeczniejszą przyjaciółką.

- Ty moją tak samo. Więc powiedz, dlaczego wybrałaś „Czarownice z Salem”?

- Dlatego że w zeszłym roku, kiedy jeszcze nie mieszkałaś tutaj, wystawiliśmy „Annie, strzelaj!”, i mam dość wystawiania musicali. Chciałam dla odmiany pokazać sztukę kogoś z żyjących wielkich amerykańskich dramaturgów,

więc niech to będzie sztuka Arthura Millera. Ale muszę przyznać, że jest jeszcze jeden powód...

- Wiem, graliśmy to w Bennington dawno, dawno temu - przerwała z uśmiechem Maggie. - Dlatego, prawda?

Samantha odchyliła się na krześle i bacznie jej się przyjrzała. Powoli potrząsnęła głową przecząco.

- Nie, nie. Wcale nie.

- A już myślałam, że kierujesz się sentymentem.

- Sentymentem?

- Oczywiście. My, wtedy dziewiętnastolatki. I nasza żarliwa przyjaźń na wieki. I nasze pierwsze miłości. No i ten pierwszy raz na deskach sceny. Właśnie w „Czarownicach z Salem”. To był dla nas bardzo szczęśliwy rok, ale czy ty go jeszcze pamiętasz?

- Pamiętam tamten rok w college'u doskonale. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy. Nawet myślałam o tym przedwczoraj. Poniekąd masz rację. Wybrałam „Czarownice” trochę dlatego, że dobrze je znam. Ale też i z innego względu. Arthur Miller mieszka w Connecticut i my jesteśmy zespołem teatralnym z Connecticut. Patriotyzm lokalny. W zasadzie możesz mówić, że jestem sentymentalna, jeżeli chcesz.

- Jesteś w głębi duszy, tylko lubisz udawać, że nie jesteś - powiedziała Maggie.

- Możliwe - zgodziła się Samantha i parsknęła śmiechem.

- Niektórzy jednak twierdzą, że jestem apodyktyczna.

- Och, to także. - Maggie też się roześmiała.

- Dziękuję ci, przyjaciółko. W każdym razie, wracając do tej sztuki, i ty ją nieźle znasz. Tym łatwiej ci będzie projektować dekoracje.

- Zdajesz sobie sprawę, że mnie to przeraża? Nie pojmuję, jak w ogóle dałam się na coś takiego namówić. W życiu tego nie robiłam.

- Ale projektujesz piękne wnętrza, zwłaszcza ostatnio. Zresztą wszystko kiedyś robi się pierwszy raz. Zobaczysz, spiszesz się na medal.

- Chciałabym być tego tak pewna, jak ty. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, od czego zacząć. Wertowałam tę sztukę prawie do rana i w głowie mam kompletną pustkę. Raczej nie liczcie na mnie. Czy rzeczywiście nie macie do scenografii nikogo?

- Nie mamy, Maggie. A przez ciebie przemawia trema, i to jest zupełnie naturalne. Tylko weź ołówek do ręki i zacznij szkicować, od razu poczujesz się świetnie, zaufaj mi.

- Ale czy powinnam, Sam? Ilekroć zaufałam ci w dawnych czasach, pakowałam się w kłopoty.

- Nic podobnego. - Samantha wstała i przeszła przez scenę, gestykując. - Musisz wymyślić główne tło dramatu. I meble muszą być typowe, z tamtej epoki. Z okresu kolonialnego. No, ale na meblach znasz się jak mało kto. Nie wiem, po co ci o nich mówię. - Odwróciła się do Maggie. - Prawie widzę te dekoracje. Czerń i biel, i może odcienie szarości, coś w rodzaju obrazu *en grisaille*. Co o tym myślisz?

Maggie wstała i podeszła do niej. Kiwała głową.

- Jasne! - wykrzyknęła, nagle ożywiona. - Wiem dokładnie, o co ci chodzi. To musi być surowe. Prawie ponure. A już na pewno smutne. I zarazem musi rzucać się w oczy. Odstawać od szablonu. Zaskoczyć publiczność. - Uniosła brwi. - Zgadzasz się?

Samantha się uśmiechnęła.

- Oczywiście, i wiedziałam, że załapiesz, kiedy tylko pobudzę ten twój inteligentny mózdzek. Jesteś taka zdolna, Maggie, masz wyobraźnię. Na pewno utrafisz we właściwy nastrój.

- Mam nadzieję. Za nic bym nie chciała sprawić ci zawodu. - Maggie zastanowiła się i po chwili dodała: - Wiesz, chyba pod koniec tygodnia machnę się do Nowego Jorku po książki na temat scenografii.

- Słusznie. Chociaż nie, zaczekaj, nie musisz szukać tych książek aż na Manhattanie. Spróbuj w księgarni w Wa-

shington i tutejszej w Kent. Jedna i druga jest dobrze zaopatrzona. Poczynając od zup, na maśle orzechowym kończąc.

Maggie parsknęła śmiechem. Zawsze, od czasów college'u, Samantha bawiła ją swymi barwnymi określeniami.

Jeszcze przez kilka minut stały pośrodku sceny i omawiały pomysły scenograficzne. Maggie wzięła notes i zaczęła szkicować.

Obie czterdziestotrzyletnie, obie efektowne, bardzo jednak różniły się od siebie zarówno wyglądem, jak osobowością.

Samantha Matthews była średniego wzrostu, szczupła, przedwcześnie posiwiąta. Ale srebrzysty kolor krótkiej czupryni z grzywką wcale nie postarzał jej dziewczęco ładnej twarzy i świeżej cery. Oczy miała szeroko rozstawione, piwne, sarnie. Wprost kipiała życiem, pełna energii, spontaniczna i towarzyska. Lubiła rządzić - nieco władcza, ale życzliwa ludziom, dobrodusznym i łatwym we współżyciu.

Maggie Sorrell natomiast była wysoka, smukła i gibka, o roziskrzonych jasnoniebieskich oczach, chwilami badawczych i krytycznych. Jej kasztanowate gęste włosy, wyszczotkowane, połyskliwe, opadały do ramion. Chociaż twarz miała kanciastą, raczej interesującą niż ładną, wyglądała bardzo ponętnie. Poruszała się z wdziękiem. Energią, żywiołowością i optymizmem dorównywała Samancie, a przecież sprawiała wrażenie spokojniejszej i bardziej powściągliwej z nich dwóch. Po prostu inny styl.

Różniły się nawet sposobem ubierania, każda wierna sobie samej. Dzisiaj Samantha była w tak zwanym przez siebie mundurze: w czarnych półbutach, białych skarpetkach, w dżinsach uszytych na zamówienie, białej bawełnianej koszuli i blezerze z czarnej gabardyny z mosiężnymi guzikami. Maggie natomiast, lubiąca ubierać się swobodniej, była w kloszowej spódnicy z brązowego zamszu, wysokich z takiegoż zamszu butach i kremowej jedwabnej bluzce, na którą narzuciła dużą kaszmirową chustę.

Obie miały ów niedbały szyk, świadczący, że umieją się ubrać i wiedzą, w czym im do twarzy; szyk świadczący również o dobrym pochodzeniu.

Przyjaźń zawarta w college'u przetrwała później lata, chociaż mieszkaly daleko od siebie, w odległości tysięcy mil. Udawało im się spotykać dosyć często, co najmniej dwa razy na rok, i co tydzień od niepamiętnych czasów rozmawiały ze sobą przez telefon, dopóki Maggie po okropnym kataklizmie w swoim życiu nie przeniosła się osiem miesięcy temu do stanu Connecticut. Teraz znów były nierozłączne.

Ktoś załomotał do jednych z drzwi sali, aż obie podskończyły przerażone. Odruchowo odwróciły się i spojrzały w półmrok pustej widowni.

- Och, to tylko Tom Cruise - powiedziała Samantha z uśmiechem zadowolenia. Skwapliwie pomachała ręką do mężczyzny idącego środkowym przejściem w stronę proscenium.

- Tom Cruise? - syknęła Maggie, chwytając ją za łokieć. - Nie mogłaś mi przedtem powiedzieć, na litość boską? To on teraz jest tutaj? Interesuje się teatrem amatorskim? Ojej, mam nadzieję, że nie bawi się w dobroczynność, nie zagra w tej sztuce dla hecy. W żadnym razie nie zaprojektuję scenografii! W żadnym razie, jeżeli ma grać prawdziwy aktor!

Samantha się roześmiała. Zniżonym głosem wyjaśniła:

- O ile wiem, pan Cruise nadal przebywa w Kalifornii. Ten, który idzie do nas, mógłby jednak nim być. Dlatego tak go nazywam.

Maggie puściła jej łokieć, gdy na scenę wszedł młody człowiek.

- Przepraszam, że się spóźniłem. - Przywitał się z Samantha uściskiem ręki.

- Nie szkodzi. - Samantha dokonała prezentacji: - Poznajcie się. Maggie, to Jake Cantrell. Jake, to pani Margaret Anne Sorrell, na co dzień Maggie. Jest dekoratorką wnętrz

i będzie naszym scenografem. A on - zwróciła się do przyjaciółki - jest geniuszem od świateł i efektów specjalnych. Mam nadzieję, że przystąpi do naszego zespołu i popracuje z nami. Bardzo nam potrzebny taki ekspert.

Jake dosyć nieśmiało uśmiechnął się do Samantha, a potem do Maggie.

- Miło mi panią poznać.

Podali sobie ręce. Maggie poczuła siłę jego chłodnej dłoni.

- Miło mi - mruknęła.

Przyjrzeni się sobie krótko. Szalenie przystojny, pomyślała, i chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale taki jakiś skołatany, stwierdziła, widząc w jego oczach smutek.

A Jake pomyślał, że nigdy dotąd nie spotkał kobiety tak pięknie zadbanej, tak zdecydowanie mającej swój styl. Nagle zląkł się jej, gdy patrzyła na niego badawczo chłodnymi, inteligentnymi oczami.

Rozdział 3

We troje usiedli przy stole na scenie. Samantha dała Jake'owi egzemplarz sztuki.

- Dziękuję - powiedział.

- Jak pan widzi, chcemy wystawić „Czarownice z Salem”. Myślę, że powinien pan to przeczytać, kiedy znajdzie się trochę czasu. - Błysnęła uśmiechem. - Dzisiaj jest spotkanie wstępne. Może spotkamy się jeszcze raz w tym tygodniu, w piątek albo w sobotę, i wtedy omówimy szczegóły scenografii, oświetlenia. Będzie pan już lepiej zorientowany, czego potrzeba.

- Znam tę sztukę - powiedział. - I to bardzo dobrze. Z liceum. Widziałem ją też parę lat temu. Zawsze lubiłem Arthura Millera.

Jeżeli Samantha słysząc to, była zdumiona, potrafiła zdumienie ukryć. Tylko przytaknęła.

- Świetnie. Zaoszczędzi nam to sporo czasu.

- Nigdy nie pracowałem dla teatru, jak już mówiłem, kiedy pani zatelefonowała z tą propozycją - ciągnął Jake. - Ale wiem, że w „Czarownicach” szczególnie ważny jest nastrój. Oświetleniem sceny trzeba podkreślić znaczenie tego dramatu, scen, wytworzyć atmosferę. To powinna być atmosfera tajemniczości. Głębokiej tajemniczości. W której czai się objawienie. I myślę, że trzeba wyraźnie pokazać, gdzie i kiedy to się dzieje. Więc że w Salem, w stanie Massachusetts, w siedemnastym wieku. Świece, efekty specjalne, symulowanie

nocy i brzasku. Pamiętam te nocne sceny w lesie. Można by jakimś interesującym połączeniem światła i cienia... - Urwał, niepewny, czy nie zanadto się rozgadał, czy nie robi z siebie głupca. Obie kobiety wpatrywały się w niego badawczo. Poczul, że się rumieni. Ogarnęło go zakłopotanie.

Maggie, która bacznie obserwowała Jake'a, zauważyła to. Ale dlaczego raptem się speszył, nie wiedziała. Żeby go ośmielić, powiedziała szybko:

- Utrafił pan. Ja sama nieźle znam „Czarownice”, ale wiem, że ta scenografia będzie dla mnie trudnym zadaniem. To moja pierwsza próba w teatrze. Tak jak pan, jestem raczej nowicjuską. Może byśmy mogli pomagać sobie nawzajem. - Uśmiechnęła się. - Samantha ma rację z tym spotkaniem pod koniec tygodnia. To nam obojgu da czas na odświeżenie „Czarownic” w pamięci. Jestem wolna i w piątek, i w sobotę. - Spojrzała na Samanthę i znów na niego. - Który dzień wolicie?

- Sobotę - odpowiedziała Samantha.

Jake milczał, dziwnie skrępowany. Dla nich to już sprawa przesądzona, ale on jeszcze się nie zdecydował i nawet nie wie, czy tego chce. Chyba rzeczywiście powiedział za dużo, dlatego odniosły wrażenie, że zamierza w tym teatralnym przedsięwzięciu uczestniczyć.

- Panu byłoby wygodniej w piątek? - zapytała Maggie.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, myślę, że nie. Ja... - Ugryzł się w język. Ostrożnie, upomniał się w duchu. Lepiej do niczego się nie zobowiązywać. Ostatecznie za dużo czasu by mi to zabierało, muszę myśleć przede wszystkim o mojej firmie. Zresztą jakoś gubił się przy tych dwóch paniach. Wydawało mu się, że są z innego świata, którego on nie zna. I jeszcze coś. Najwyraźniej traktują swój amatorski teatr bardzo poważnie. Chcą zrobić naprawdę dobre przedstawienie. Wiedział, że Samantha Matthews jest perfekcjonistką, jego klient w Washington mówił mu o tym. Będzie więc zleceniodawczynią twardą i wymagającą. Daruję to sobie, pomyślał.

Odchrząknął i zwrócił się do Samantha:

- Zgodziłem się przyjechać tu dzisiaj, bo zawsze staram się poszerzać swoje horyzonty i interesuje mnie projektowanie oświetlenia sceny. Ale pani chyba chce, żebym się na dobre zaangażował. A ja nie mogę. To znaczy, jestem zajęty w moim zakładzie elektrotechnicznym. Pracuję do późnej nocy...

- Och, Jake, niech pan nie odmawia tak pochopnie - przerwała mu Samantha. - Maggie i ja też toniemy w pracy po szyję. Wszyscy musimy zarabiać na utrzymanie. - Znów uśmiechnęła się do niego żywo, po swojemu, i dodała: - Naprawdę to nie będzie dla pana takie ogromne obciążenie. Kiedy pan obmyśli efekty świetlne, więcej nic nie będzie pan miał do roboty. Resztę ja przejmę. Mam kilku dobrych robotników teatralnych i elektrotechnika.

- Instalowanie takich świateł wcale nie jest łatwe - powiedział Jake. - To nawet sprawa dość skomplikowana, zwłaszcza w tej sztuce.

- Z pewnością - wtrąciła się Maggie. - Ale naprawdę chcemy, żeby pan się jeszcze zastanowił. Sądząc z tego, co mówiła Sam o pana innowacjach w domu Bruce'a, pan rzeczywiście wie, co robi. I proszę posłuchać, ja pana rozumiem. Parę miesięcy temu założyłam nową firmę i całkowicie się jej poświęcam. Niemniej myślę, że mnóstwo dla mnie znaczy ta mała przygoda z teatrem. - Uśmiechnęła się do niego ujmująco.

Patrzył na nią, patrzył jej w oczy i czuł, jak włosy mu się podnoszą na karku. Maggie Sorrell nie była ładna w utartym sensie tego słowa. Ale miała w sobie coś, co wykraczało poza urodę. Coś, co intrygowało, sprawiało, że należała do kobiet, za którymi mężczyzna musi się obejrzeć. Jej szyk nie zależał od stroju, po prostu miała go w sobie. Patrząc na nią, Jake poczuł do niej dziwny pociąg. I natychmiast postarał się to zwalczyć. Nigdy nie znał takiej kobiety. Nie był pewny, czy chce znać.

Ponieważ milczał, Maggie mówiła dalej:

- Jak pan nam powiedział, pan też myślał, że się czegoś nauczy. Naprawdę, Jake, oboje na tym skorzystamy pod niejednym względem. Na przykład, to będzie reklama, duża reklama, która się przyda i pana firmie, i mojej. Ja w każdym razie już zaczynam się przekonywać, że cokolwiek robię, zwykle gdzieś po drodze spotykam potencjalnych klientów.

- Brawo! Mówisz jak prawdziwa profesjonalistka! - wykrzyknęła Samantha. - Jake, Maggie ma rację. Z tego można wyciągnąć korzyść pod wieloma różnymi względami. - I gdy Jake nadal się nie odzywał, zapytała natarczywie: - No, co tu jest do stracenia?

Po jeszcze jednej chwili wahania powiedział cicho:

- Chodzi o czas. Nie stać mnie na to, żeby mój zakład ucierpiał.

- Nikogo z nas na to nie stać - zwróciła mu uwagę Maggie. - No, Jake, niech pan spróbuje. Tak jak ja. Ta propozycja jest wyzwaniem. Ja bardzo lubię wyzwania. Pan nie lubi? - I nie czekając na odpowiedź, zakonkludowała. - W każdym razie to będzie dla nas przyjemne.

Zanim się spostrzegł, ustąpił. I od razu poczuł się z siebie niezadowolony. Po licha mu takie zobowiązania? Szybko się zastrzegł:

- Ale jeżeli to okaże się nie do pogodzenia z moją pracą, będę musiał zrezygnować. Panie rozumieją, prawda?

- Oczywiście - odpowiedziała Samantha.

- Więc kiedy następne spotkanie? - zapytała Maggie. - Woli pan piątek czy sobotę?

- Stanowczo sobotę. W piątek wieczorem pracuję, w sobotę przed południem też. Czy możemy się spotkać w sobotę pod wieczór?

- Doskonale - mruknęła Maggie.

- Załatwione! - wykrzyknęła Samantha, nagle uradowana. - Będziemy zgraną drużyną. I panu zacznie się to podobać, zobaczy pan. Opłaci się takie doświadczenie. Nawiasem mówiąc, jestem pod wrażeniem tego, co pan mówił

o oświetleniu „Czarownic”. Wspaniale podejście. Myślę, że już ma pan to oświetlenie w małym palcu.

- Chciałbym - powiedział Jake, usiłując ukryć, że pochlebia mu jej komplement. - Dla mnie zawsze to była mocna sztuka.

- Jest mocna i w pewnym sensie przerażająca, kiedy się pomyśli, że wszystko polega na kłamstwach... na tych strasznych kłamstwach, jakie ludzie wciąż mówią - powiedziała Maggie.

Dochodziła dziewiąta, gdy Jake znów wszedł do swojej kuchni. Wziął z lodówki piwo i uprzytomnił sobie, że jest głodny.

Wypił trochę, poszedł do saloniku, powiesił swoją sportową marynarkę na oparciu krzesła i wrócił do kuchni. W ciągu paru minut otworzył puszkę wołowiny i słoik korniszonów, zrobił kanapkę.

Zabrał talerz i piwo do saloniku, postawił na szklanym blacie stolika do kawy, usiadł wygodnie i za pomocą pilota włączył telewizor. Jedząc kanapkę i popijając piwo, patrzył na ekran telewizora, ale bez zainteresowania.

Myślał przede wszystkim o teatrze amatorskim, o „Czarownicach z Salem”, o tych dwóch kobietach, z którymi niedawno rozmawiał. Były zupełnie do siebie niepodobne, ale obie bardzo sympatyczne, spodobały mu się. Toteż dał się namówić. Zrobi im światła do przedstawienia. Ale już żałował, że się zgodził - wbrew swemu rozeznaniu i instynktowi. Będzie z tym więcej kłopotu, niż to warte. Dlaczego się w coś takiego wplątałem, znów zadawał sobie pytanie.

Nagle zniecierpliwiony, wyłączył telewizor. Rozparł się w fotelu, odpoczywał przy piwie.

Po pewnym czasie wstał i podszedł do okna. Patrząc na nocne niebo, zastanawiał się przez chwilę, jaka ona naprawdę jest, ta Maggie Sorrell. No, ale przecież nigdy nie pozna jej dość dobrze, żeby to wiedzieć.

Rozdział 4

Maggie Sorrell obudziła się przerażona. Zapaliła lampkę i spojrzała na budzik. Było wpół do czwartej.

Jęknęła, zgasiła lampkę, okryła się kołdrą po same uszy i usiłowała znowu zasnąć. Ale myśli popędziły, gdy sobie przypomniała, że urządziła pokój dziecienny i bibliotekę w domu klienta w Roxbury. Desenie tkanin, dywanów, kolory farb, rodzaje drewna - aż wirowało jej w głowie.

Ostatecznie zrezygnowała z planowania. Wciąż stawał jej przed oczami Jake Cantrell. Jest w nim coś ujmującego i oczywiście to chłopak szalenie przystojny. Ale o tym nie wie, pomyślała znów, jak kilka godzin przedtem. I te oczy jasnozielone, takie smutne. Co mu w życiu poszło na opak?

Najwidoczniej ktoś zranił Jake'a Cantrella, i to bardzo głęboko. Maggie rozpoznawała taki wyraz oczu - „człowieka kontuzjowanego”.

Kobieta go zraniła. Myśląc o Jake'u, Maggie westchnęła. Kobiety. Mężczyźni. Krzywdzą się nawzajem w imię miłości wprost diabelsko. To graniczy ze zbrodnią. Już ja to wiem, mnie to spotkało.

Mike mnie zabił, zupełnie tak, jakby mi zadał cios nożem. Chociaż nie, moją duszę zabijał przez lata.

Od wielkiego kataklizmu w życiu Maggie upłynęły bez mała dwa lata, ale pamięć o tym nadal była żywa. Ból stępsiał, chwilami jednak wracał zaskakująco dotkliwy. Złe

wspomnienia, chociaż Maggie starała się je stłumić, uparcie ją nękały.

W przyszłym miesiącu skończę czterdzieści trzy lata, pomyślała, zaczne rok czterdziesty czwarty. Czyż to możliwe? Czas mknie z prędkością światła. Gdzie się podziało tyle tych lat? No, wiadomo gdzie. Mike je pozał. Michael William Sorrell, z zawodu adwokat, któremu je poświęciłam. Teraz nasze dzieci są już w college'u, niedługo będą pełnoletnie.

Ich troje - Mike i bliźnięta, Hannah i Peter - odeszło z życia Maggie, i już się nauczyła żyć bez nich, ale wciąż jeszcze cierpiała, gdy myślała o synu i córce. Stali po stronie ojca, chociaż nie zrobiła nic złego. To on był winien. Ale był też źródłem pieniędzy, co wyraźnie miało dla nich znaczenie.

Straszne, kiedy się stwierdza, że chciwe, zachłanne i samolubne są dzieci, które wydało się na świat i usiłowało się wychować należycie, w poszanowaniu prawdziwych wartości. Ale to fakt, niestety; wysiłki zawiodły.

Biorąc stronę ojca, Hannah i Peter wyrządzili Maggie wielką krzywdę. Urodziła ich, piastowała od kołyski, pielęgnowała, gdy chorowali. Zawsze była im oddana, a oni w przełomowej chwili postąpili tak paskudnie. Cisnęli jej całą tę matczyną troskę w twarz, jak gdyby jej miłość do nich nigdy nic nie znaczyła.

W pewnym sensie ich odstępstwo, dowodzące oschłości serca, oszołomiło ją bardziej niż zdrada Mike'a. Porzucił ją, gdy miała czterdzieści dwa lata, porzucił, odszedł do młodszej, dwudziestosiedmioletniej koleżanki po fachu, pracującej w jednej z kancelarii adwokackich w Chicago.

Ale przeżyłam, pomyślała teraz Maggie, głównie dzięki Samancie. I naturalnie, dzięki sobie samej.

To właśnie Samantha wyciągnęła do niej pomocną dłoń dwa lata temu, w tamten straszny poranek majowy, poranek jej urodzin, i to wtedy, gdy ona już przyjęła do wiadomości, że spędzi te urodziny samotnie.

Bo Hannah i Peter, chociaż studiowali w pobliskim college'u Northwestern, zanadto byli zajęci swoimi sprawami, żeby mieć czas na świętowanie urodzin matki. A ich ojciec tego dnia rano wyjechał „w interesach”, nawet nie składając jej urodzinowych życzeń.

Maggie siedziała w kuchni mieszkania przy Lake Shore Drive, pozostawiona samej sobie. Bez męża, bez dzieci. Rodzice od dawna nie żyli, rodzeństwa nie miała. W tamten szczególnie poranek czuła się opuszczona, odrzucona, niepotrzebna nikomu. Jeszcze teraz, po dwóch latach, właściwie nie potrafiła sprecyzować, jak się czuła wówczas, ale wiedziała, że była okropnie rozbita. Zanim zadzwonił telefon. Zanim usłyszała w słuchawce śpiew Samantha.

*Sto lat, sto lat
niech żyje, żyje mi!
Maggie, moja przyjaciółka
niech żyje mi!*

Rozpłakała się głośno i, łkając, wyjaśniła, że jest w dniu swoich urodzin sama, bo dzieci nie mają dla niej czasu, a Mike wyjechał.

- Spakuj torbę! - wykrzyknęła w słuchawkę Samantha.
- Jedź natychmiast na lotnisko O'Hara i przyleć do Nowego Jorku. Zarezerwuję dla nas pokój w Carlyle. Mam tam chody, zawsze mogę dostać pokój. I zabiorę cię dzisiaj na ubaw. Do jakiegoś ekstra-lokalu. Więc weź swoją najwytworniejszą kieckę. - I przerywając jej protesty, powiedziała: - Nie słucham głupich wykrętów. Samolot masz co godzina, tylko wsiądź do któregoś i przyfruć. *Pronto, pronto, pronto*, moja kochana. Będę czekać na ciebie w hotelu.

Czekała w Carlyle pełna ciepła i współczucia, serdeczna. Świetnie się bawiły przez dwa dni na Manhattanie, zrobiły trochę zakupów, jadały w eleganckich restauracjach i oczywiście obejrzały przedstawienie na Broadwayu i były w Metropolitan Museum, i gadały w nieskończoność, wspo-

minały czasy w Bennington College, gdzie się poznały. Opowiadały sobie o swoim późniejszym życiu.

Samantha wyszła za mąż w kilka lat po Maggie. Jej mąż, Angus McAllister, był angielskim dziennikarzem, pracującym w Nowym Jorku. Pobrali się, gdy miała dwadzieścia pięć lat, a on trzydzieści jeden. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem, nie długo jednak. Przed piątą rocznicą ślubu Angus zginął w katastrofie samolotu, którym służbowo leciał na Daleki Wschód.

Samantha, bezdzietna młoda wdowa, w kilka miesięcy później przeniosła się z Nowego Jorku do Washington w stanie Connecticut, gdzie zamieszkała w weekendowym dawniej domu swoich rodziców. Z czasem przeboleła śmierć ukochanego Angusa. Było kilku mężczyzn w jej życiu, ale nie wyszła ponownie za mąż.

W którymś momencie urodzinowej eskapady Maggie zapytała Samanthę dlaczego. Samantha potrząsnęła głową i odpowiedziała barwnie, po swojemu:

- Nie znalazłam królewicza, cacuszko. A chcę się zakochać po same uszy, tak jak zakochałam się w Angusie. Chcę, żeby serce podjeżdżało mi do gardła i żeby kolana się pode mną ugięły. - Roześmiała się. - Chcę zostać ściętą z nóg, porwana w objęcia i do łóżka, i to na całe życie. Inaczej mowy nie ma. Więc nadal czekam z nadzieją, że może takiego królewicza spotkam.

W samolocie powrotnym do Chicago Maggie wreszcie spojrzała prawdzie w oczy - jej małżeństwo z Mike'em jest z każdym dniem gorsze, dogorywa. Nie wiedziała, co zrobić. Ale Mike wiedział. Nazajutrz, ledwie wszedł do mieszkania, wróciwszy z podróży, oznajmił, że odchodzi od niej, i zaraz wyszedł. Wolał młodszą.

Ostatecznie wstrząs minął. Maggie do pewnego stopnia odzyskała równowagę i zabrała się do porządkowania spraw po niespodziewanym odejściu męża.

Zaczął się postępowanie rozwodowe. Mieszkanie zostało wystawione na sprzedaż i gdy znalazł się nabywca, Mag-

gie wróciła na wschód, do Nowego Jorku, swego miasta rodzinnego.

Mieszkała tam pół roku w wynajętej małej pracowni. Nie miała już nikogo z rodziny i dawno straciła kontakt z przyjaciółmi z młodości. W tym wielkim mieście żyła jak pustelnica.

Toteż szybko dała się Samancie namówić na poszukanie sobie domu w północno-zachodniej części Connecticut. Jak również do podjęcia pracy zawodowej. Była architektem wnętrz. Przed kilku laty pracowała w renomowanej firmie dekoratorskiej w Chicago, i to z ogromną przyjemnością. Odeszła stamtąd pod presją Mike'a.

Usłyszała rad przyjaciółki, wywiesiła szyld firmowy, gdy tylko się ulokowała w swoim nowym domu w Kent. Ten mały dom w stylu kolonialnym Connecticut, istny, jej zdaniem, klejnocik, stał w odległości zaledwie kilku mil od Washington, gdzie mieszkała Samantha.

Dzięki znajomościom Samanthy zlecenia zaczęły napływać. Były nieduże, ale pomagały nabrać na nowo rozpędu w urządzaniu wnętrz, a zarobione pieniądze pokrywały częściowo dzierżawę domu.

Będąc optymistką, wierzyła w przepowiednię Samanthy, optymistki w każdym calu, wróżącej, że wkrótce nadarzy się wielkie zlecenie.

Maggie pojęła, że tej nocy już nie zaśnie. Znów zapaliła lampkę i spojrzała na budzik. Dochodzi czwarta. Nieraz wstawała o tej porze i bardzo dobrze jej się pracowało. O ósmej, zamiast zasiać do pracy, już tę pracę kończyła.

Wstała. O piątej, siedząc przy biurku, piła kawę, już ubrana, umalowana, gotowa na czekający ją dzień. Miała tego ranka pojechać do pracowni Samanthy w Washington i spośród najnowszych, ręcznie malowanych tkanin wyszukać coś odpowiedniego do sypialni, którą projektowała dla klientki w New Preston. Potem miała się spotkać z klientem z Roxbury i przedstawić mu plan urządzenia biblioteki. Teraz więc musiała podbierać próbki kolorów do tego pokoju.

Zaczęła wyciągać kawałki materiałów z płóciennych worków, które postawiła na podłodze u swoich stóp. Były to najrozmaitsze odcienie zieleni i czerwieni, zgodnie z życzeniem klienta, ale żaden odcień jej się nie podobał. Czerwień za jaskrawa, zieleń za jasna.

- Powinny być ciemniejsze - mruknęła i, nie wiedząc dlaczego, pomyślała nagle o „Czarownicach z Salem” i o wczorajszym spotkaniu.

Znowu Jake Cantrell stanął jej przed oczami. Musiała uczciwie przyznać, że dosyć idiotycznie wzięła go w pierwszej chwili za Toma Cruise'a, no, ale Samantha nabrała ją tak przekonująco, gdy szedł do nich przez salę!

Potem zaskoczył je obie tym, co mówił o oświetleniu. Niewątpliwie jest dobry w swojej dziedzinie, prawdopodobnie tak świetny, jak mówi Samantha. Tylko że oczywiście z Sam nigdy nic nie wiadomo. Samantha lubi ładne twarze, dumiała Maggie, dobierając próbki kolorów na biurku. I nagle przestała je dobierać. Odchyliła się od biurka, zapatrzyła przed siebie.

- Przecież jest dla niej za młody - powiedziała. I dla mnie też, dodała w duchu.

Rozdział 5

Wychodząc spod prysznica, Jake usłyszał dzwonek telefonu. Sięgnął po ręcznik, trochę się wytarł i włożył płaszcz kąpielowy.

Zanim wszedł do sypialni, usłyszał głos Maggie Sorrell mówiący: „do widzenia”. Sekretarka automatyczna pstryknęła. Nacisnął guzik, włączył nagranie od początku.

W pokoju rozległ się głos:

- Jake, mówi Maggie Sorrell. Właśnie dostałam duże zlecenie w Kent. Farma. Piękny stary dom, mnóstwo tam jest do zrobienia. Teren wspaniały. Przyszło mi na myśl zapytać, czy ty byś nie zechciał zająć się elektrycznością. Wewnątrz i na zewnątrz. Proszę, zadzwoń. Jestem w domu. - I Maggie powtórzyła numer swego telefonu, który mu podała, gdy się spotkali w sobotę.

Usiadł na łóżku, jeszcze raz przesłuchał wiadomość. Głos taki miły, lekki, melodyjny, głos kobiety z wyższych sfer. Widział się z nią już trzy razy na zebraniach zespołu dramatycznego, po koleżeńsku mówili sobie per ty i zdawał sobie sprawę, że ona bardzo go pociąga. Myślał o niej często, ale nie miał zamiaru tego rozwijać. Przecież Maggie Sorrell nigdy się nim nie zainteresuje.

Jednakże ta praca na farmie go nęciła. Duże zlecenie w Washington prawie już wykonał, roboty dla jego ludzi zostało tylko na parę dni. Mając czterech pracowników na liście płac, musiał starać się o jak najwięcej zleceń. Dwaj

byli żonaci, utrzymywali swoje rodziny. Poczował się do odpowiedzialności jako pracodawca.

Chciał zadzwonić do Maggie, ale się rozmyślił, położył słuchawkę z powrotem. Po co jej okazywać, że mu na tym zależy. Znów trochę się zdenerwował, myśląc o niej.

Wrócił do łazienki, uczesał mokre włosy, po czym w sypialni ubrał się, włożył dżinsy i sweter.

Dopiero po piętnastu minutach usiadł przy biurku w pokoiku na tyłach domu, służącym mu za biuro. Przyciągnął aparat telefoniczny, nakręcił numer Maggie.

Odebrała natychmiast.

- Halo?

- Maggie, mówi Jake.

- Cześć, Jake. Wiesz, że telefonowałam?

- Byłem wtedy pod prysznicem. - Zastanowił się, dlaczego to powiedział, ale pośpiesznie mówił dalej. - Ta praca na farmie wydaje się ciekawa. Gdzie to właściwie jest?

- Niezbyt daleko od Kent, w pobliżu mostu Bull's Corner, ściśle mówiąc. To ładna posiadłość i dom jest naprawdę uroczy.

- Czy to rzeczywiście duże zlecenie?

- Tak sądzę, Jake. W całym domu potrzebne są nowe instalacje. Nikt w nim niczego nie tknął chyba od trzydziestu lat. Moja klientka, która go kupiła, chce mieć klimatyzację i centralne ogrzewanie, różne udogodnienia w kuchni i zamierza dobudować pralnię. No, teren wokoło również musi być oświetlony. I ona myśli też o basenie i o patio, no i trzeba urządzić starą chatę, która tam stoi, żeby była domkiem dla gości, z mieszkaniem dozorczyńni na pięterku. - Roześmiała się. - Więc jak widzisz, zlecenie ogromne.

- Też mi się tak wydaje, Maggie. Co nas czeka? Jakież sześć, siedem miesięcy pracy.

- Prawdopodobnie. Może trochę więcej. Dasz radę?

- Tak, raczej tak. I dziękuję, że pomyślałaś o mnie.

- Samantha wciąż mówi, że jesteś najlepszy, a wczoraj widziałam, czego dokonałeś w tym domu w Washington i w ogrodzie. Zaimponowałeś mi.

- Dziękuję. Kiedy mogę zobaczyć farmę? Chciałbym, zanim się podejmę tej pracy.

- Moglibyśmy tam pojechać jeszcze w tym tygodniu.

- Dobrze.

- Może w piątek, czternastego?

- Wspaniale. O której?

- Mógłbyś rano, koło ósmej?

- No pewnie. Jak tam dojechać?

- To skomplikowane... mnóstwo zakrętów. Najlepiej spotkajmy się u mnie. Wiesz, gdzie mieszkam, i ode mnie jest bliżej. Oszczędzimy sporo czasu.

- Będę u ciebie punkt o ósmej. I, Maggie...

- Słucham, Jake.

- Dziękuję, że myślisz o mnie.

Zaznaczył sobie datę spotkania w kalendarzyku, który nosił przy sobie, i w terminarzu na biurku, po czym wstał i wyszedł z domu.

Idąc do furgonetki, uznał, że ostatecznie nie był tak głupi: zaangażowanie się w „Czarownice” może mu przynieść zlecenie. Ale znał prawdziwy powód tego zaangażowania. Zgodził się na współpracę z zespołem dramatycznym ze względu na nią, oczywiście. Ze względu na Maggie Sorrell.

Usiadł za kierownicą i przez chwilę siedział bez ruchu. Musiał się zmobilizować. Jechał, żeby spotkać się z kimś, do kogo wcale mu się nie śpieszyło.

Amy Cantrell stała pośrodku pokoju dziennego i rozglądała się, nagle zauważając, jak bardzo ten pokój jest niechlujny. Ogarnęło ją przerażenie.

Zdołała wreszcie uprosić Jake'a, żeby przyjechał dziś wieczorem po raz pierwszy od miesiąca, a on ledwie wejdzie, będzie wściekły. Nie cierpi bałaganu. Jest taki czystutki i był przez cały czas, odkąd się pobrali, czyli od zawsze. Kłócił się z nią właściwie tylko o nieporządek

w mieszkaniu i o jej niechlujstwo. Rzeczywiście nigdy nie rozumiała, jak to się dzieje, że w ciągu paru sekund robi się wokół niej kompletny chaos. Wcale tego nie chciała, po prostu tak było i już.

Kręcąc głową i marszcząc brwi, zaczęła szybko zbierać porozrzucane gazety i magazyny. Spiętrzyła je na krześle, spulchniła poduszki na kanapie, po czym wyniosła tę stertę pism do kuchni.

Zobaczyła nie pozmywane naczynia w zlewie i jęknęła. Że też zapomniała o zmywaniu. Rzuciła gniewnie pisma, otworzyła zmywarkę, zapełnioną po brzegi i nie włączoną. Wszystko brudne. Usiłując wepchnąć do zmywarki naczynia ze zlewu, w pośpiechu upuściła kubek. Stłukł się.

Przeraźliwie głośno zadzwonił telefon. Podbiegła.

- Halo?

- Amy? To ja. Już przyjechał?

- Nie, mamó. Przyjedzie dopiero po ósmej.

- Dlaczego tak późno, Amy?

- Nie wiem. On pracuje, mamó.

- Powiedz mu o alimentach. Powiedz, że należą ci się alimenty.

- Mamó, muszę już kończyć. Naprawdę. Staram się tu posprzątać. Jake nie cierpi bałaganu.

- Co to ciebie obchodzi? Rzucił cię.

- Muszę kończyć, mamó. Do widzenia. - Wyłączyła się, już nie dopuszczając matki do głosu.

Ruszyła w stronę zmywarki i nadepnęła na stłuczony kubek. Spojrzała. Przygryzła wargi. Bliska płaczu, zaczęła szukać szczotki i śmietniczki.

Przez kilka następnych minut próbowała uporządkować kuchnię, potem poszła do sypialni. Łóżko było rozestane, jak zwykle w ostatnich czasach. Na samą myśl o jego zasłaniu czuła bezwład. Przytłoczona nawałem nie spełnionych domowych powinności, uciekła do łazienki.

Umyła twarz i zęby, uczesała się. Ale jej platynowe włosy smętnie zwisały przy twarzy.

Westchnęła, patrząc na siebie w lustrze. Co zrobić, żeby wyglądać lepiej? Sięgnęła po krem i wklepała trochę w policzki. Upudrowała się, przeciągnęła różem po kościach policzkowych i maznęła usta blad różową pomadką.

Odbicie w lustrze rozżłościło ją. Wcale nie jest lepiej. Łzy napłynęły jej do oczu. Wyglądam tak nieporządnie. Mieszkanie jest takie niechlujne. Nigdy nie wiedziała, co poradzić na jedno i drugie.

Jej przyjaciółka, Mandy, kiedyś się zaofiarowała, że ją nauczy makijażu, ale ona nigdy nie wzięła Mandy za słowo. Właściwie dlaczego? Co do mieszkania, zawsze czas ucieka i im więcej się sprząta, tym więcej jest do sprzątnięcia. Sięgnęła po chusteczkę, wytarła nos i oczy. To po prostu niesprawiedliwe. Ludzie jakoś żyją łatwo i wyglądają jak z igły. A ja tylko się miotam i gdzie spojrzę, bałagan.

Zabrział dzwonek. Aż podskoczyła.

Boże, on już przyjechał! Popędziła do małego przedpokoju, dopiero teraz sobie przypominając, że jest jeszcze w bawełnianym szlafroku, który włożyła, żeby posprzątać.

- Kto tam? - zapytała przez drzwi.

- Jake.

Zerknęła na swój brudny szlafrok. Skrzywiła się i otworzyła drzwi.

- Cześć, Amy - powiedział Jake, wchodząc.

- Cześć, Jake - powtórzyła jak echo. Zamknęła drzwi i smętnie powłokła się za nim.

- Jak się czujesz? Chyba dobrze?

- Chyba. A ty?

- Mam dużo pracy w firmie.

- Och.

Nie mogła nie zauważyć niesmaku na jego twarzy. Wzdrygnęła się w duchu przerażona. Zawsze był takim pedantem, dbał o porządek w mieszkaniu i o swój schludny wygląd. Przyjrzała mu się z ukosa. Dzisiaj też wygląda nieskazitelnie. W beżowym golfie, ciemnoniebieskich dżinsach

i granatowym blezerze. Jego buty lśnią, jego włosy lśnią, jego zęby lśnią, twarz jaśnieje. Cały wygląda jak nowiusieńka, świeżo wybita w mennicy moneta.

Bardziej niż kiedykolwiek świadoma, że sama wygląda strasznie, gorzej niż strasznie, Amy bezradnie usiadła na krześle i uśmiechnęła się do Jake'a.

Jake chrząknął.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć. Bardzo nalegałaś. O czym chcesz porozmawiać, Amy?

- O rozwodzie.

- Omawialiśmy to wiele razy, więc temat chyba wyczerpany - powiedział spokojnie.

- Chciałam tylko być pewna, że ty jesteś pewny, Jake.

- Jestem pewny, Amy. Przykro mi, ale nie ma powrotu.

Jej bladoniebieskie oczy napełniły się łzami. Zmrugnęła te łzy, odgarnęła włosy z twarzy, usiłując się opanować. Parę razy odetchnęła głęboko.

- No, byłam u adwokata. W końcu. Przypuszczam, że jesteś z tego zadowolony.

- Kiedy byłaś? - zapytał.

- Wczoraj.

- Ach tak. To dobrze, powinniśmy załatwić rozwód, żeby móc sobie ułożyć wszystko.

- Zapytał mnie, czy próbowaliśmy rozwiązać nasz problem. Powiedziałam mu, że owszem, ale nic z tego nie wyszło. Czy jesteś pewny, Jake? Może powinniśmy spróbować znowu?

- Ja nie mogę, Amy. Naprawdę, kochanie, nie mogę. Skończyło się.

Łzy płynęły jej po policzkach.

- Och, Amy, proszę cię, nie płacz.

- Przecież ja dalej cię kocham, Jake.

Nic nie powiedział.

- Tyle tych wszystkich lat - powiedziała, wpatrując się w niego z natężeniem. - Znamy się od dzieciństwa. Szmata czasu.

- Tak. I może w tym właśnie tkwi problem. Może za dobrze się znamy. Staliśmy się jak brat i siostra. Posłuchaj, Amy, musimy uznać fakt, że nasze małżeństwo to sprawa skończona. Dawno. - Odchrząknął i dodał łagodnie: - Tyś tego w ogóle nie zauważyła.

- Nie wiem, co ja zrobię bez ciebie - wyszlochała.

- Będzie ci świetnie. Wiem, że tak.

- Chyba nie, Jake. Czy możesz mi podać szklanek wody? Chcesz piwa?

- Nie, dziękuję. Pójdę po wodę. - Jake wyszedł do kuchni, lawirując wśród porozrzucanych rzeczy. Nie mógł nie widzieć, jak brudno jest wszędzie. Schylił się, podniósł skorupy kubka, położył je na blacie. Spojrzał na zapchaną zmywarkę, naczynia piętrzące się w zlewie i skrzywił się. Wreszcie znalazł w kredensie jakąś względnie czystą szklanekę, opłukał ją, napełnił zimną wodą i zaniósł Amy.

Podziękowała mu. Przez chwilę piła powoli, patrząc znad szklanki. Usiłowała wymyślić coś, co mogłaby mu powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do zupełnie pustej głowy. Chciała tylko, żeby on wrócił. Wtedy nie czułaby się tak samotna.

Jake powiedział:

- Muszę jechać, Amy, jeszcze mam dziś pracę.

- Nie jesteś ubrany jak do pracy! - wykrzyknęła nagle, pełna zazdrości.

- To papierkowa robota, Amy. Bardzo tego dużo.

- Chcesz, pojedę z tobą i pomogę ci.

- Nie, nie - powiedział szybko, wstając. - Ale dziękuję za propozycję. - Bokiem ruszył do przedpokoju.

Odstawiła szklanekę i też wstała. Poszła za nim do drzwi wejściowych.

- Ten adwokat mówił, że mam prawo do alimentów - oznajmiła.

- To żaden problem, Amy. Wciąż ci powtarzam, że możesz na mnie liczyć.

- Więc zostań ze mną.

- Nie mogę. Ale będę ci pomagał finansowo. Powiedz temu adwokatowi, żeby wszczął postępowanie rozwodowe i porozumiał się z moim adwokatem. Pozwij mnie, Amy, załatwmy to wreszcie.

Milczała.

- Do widzenia - powiedział. - Odezwę się niedługo. - I gdy milczała nadal, po prostu wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą. Biedna Amy.

Rozdział 6

W piątek rano Jake pojechał do Maggie Sorrell do Kent.

Wiedział, gdzie jest jej dom, był tam z Samantha Matthews w zeszłym tygodniu na jeszcze jednej naradzie w sprawie oświetlenia „Czarownic z Salem” - po drugiej stronie miasteczka, w połowie trasy 7, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkał.

Wyjechał ze swego podwórka na trasę 341 i skręcił w kierunku Kent. Poranek wspaniały, pomyślał, właśnie taki, jaki powinien być w kwietniu. Powietrze suche, miętowe, słońce świeci, po niebie jaskrawoniebieskim suną pulchne białe obłoki - w taki właśnie dzień wiosenny życie się uśmiecha. Otworzył okno furgonetki i wdychał czyste, świeże powietrze.

Wreszcie był w lepszym nastroju. Po wizycie u Amy we wtorek wieczorem czuł się okropnie przez całe prawie dwa dni. Ona zawsze potrafiła jakoś pozbawić go energii, przytłoczyć swoim negatywnym podejściem do wszystkiego i zupełnym brakiem planu i celu.

Czasami Jake się zastanawiał, jakim cudem Amy od kilku lat utrzymuje się na posadzie w sklepie. Niepojęte. Był to sklep, w którym sprzedawano wszystko do łazienki, z ręcznikami włącznie. Najwidoczniej właściciele sklepu lubią Amy dostatecznie, żeby ją zatrudniać pomimo jej ciągłych pomyłek.

Wyrzął przez okno furgonetki, stwierdził, że światło dzienne jest dzisiaj kryształowe. Doskonałe. Żałował, że

w ten weekend nie będzie miał czasu na malowanie, no ale trudno. Pozostało sporo pracy biurowej, a także, jeżeli szczęście mu dopisze i Maggie go zaangażuje, będzie musiał z grubsza sporządzić kosztorys instalacji potrzebnych na tej farmie.

Dał sobie pół godziny na dojazd do domu Maggie, ale ponieważ nie było dużego ruchu, znalazł się tam o piętnaście minut wcześniej. Zaparkował furgonetkę przed domem i ruszył do drzwi kuchennych. Jakże staroświecko schludnie wygląda ten dom, istny zabytek z czasów kolonialnych Connecticut. Oszalowane, śnieżnobiałe ściany, wszystkie okiennice ciemnozielone.

Zanim podszedł do drzwi, Maggie je otworzyła. Stała w progu uśmiechnięta.

W chwili gdy ją zobaczył, serce mu się ścisnęło i poczuł żar na szyi. Żeby pokryć zmieszanie, zakaszła kilka razy.

- Dzień dobry - wykrztusił. - Obawiam się, że za wczynie.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Dzień dobry, Jake, to żaden kłopot, bo wstałam o świcie. Wejdz, napijesz się kawy, zanim pojedziemy. - Uśmiechnęła się do niego znowu i wysunęła dłoń z jego dłoni.

Nie chciał puścić jej ręki, ale puścił.

- Dziękuję, kawy chętnie się napiję. - Wszedł za nią do nieskazitelnej kuchni i stanął, rozglądając się, trochę nieswój.

- Usiądź, Jake - powiedziała Maggie. - Tam, przy stole. Pijesz czarną, bez mleka, o ile dobrze pamiętam, z jedną łyżeczką cukru? - Pytając uniosła ciemne brwi.

- Tak jest, dziękuję. - Usiadł przy starym sosnowym stole w głębi kuchni. Zobaczył, że są dwa nakrycia do śniadania.

Maggie przeszła obok niego. Owionęły go wonne od szamponu bujne włosy i zapach perfum, lekki, kwiatowy. Usłyszał cichy szelest jej zamkowej spódnicy, ocierającej

się o zamszowe buty, brząk złotych bransoletek, które chyba zawsze nosiła na szczupłym nadgarstku.

Poruszała się szybko, ale z wdziękiem, jak już przedtem zauważył. Była wysoka, smukła, pełna życia i energii, i wprost nie mógł oderwać od niej oczu. W końcu jednak uświadomił sobie, że się gapi.

Powiódł wzrokiem wokoło. Znów, tak jak w zeszłym tygodniu, zachwyciła go kuchnia. Wszystko w najlepszym guście: białe ściany i szafki, terakota na podłodze, niebieskie akcenty, iskra miedzi.

Aromatycznie zapachniało w powietrzu... świeżo upieczony chleb, pieczone jabłka z dodatkiem cynamonu, zaparzona przed chwilą kawa. Wdychał te aromaty, aż pociągał nosem.

Maggie odwróciła się do niego i powiedziała:

- Upiekłam chleb dziś rano, jest jeszcze ciepły. Chciałbyś skosztować? Przepyszny, muszę się pochwalić.

- Chętnie zjem, bardzo dziękuję. Czy mogę ci w czymś pomóc? - Uniósł się z krzesła.

- Nie, nie, poradzę sobie. Kawę już niosę i zaraz podam chleb i miód. - Podeszła z kubkiem kawy, w sekundę potem wróciła z domowym chlebem, plastrem miodu i salaterką pieczonych jabłek na tacy. Postawiła tacę na stole i usiadła naprzeciw niego. - Szalenie lubię pieczone jabłka. Skosztuj, są bardzo dobre z kromką ciepłego chleba i miodem.

Przytaknął, oniemiały jak nigdy, i dopiero po chwili przyszło mu na myśl, żeby powiedzieć „dziękuję”.

Pijąc kawę, Maggie przyglądała mu się ukradkiem. Wziął pieczone jabłko i jadł je ze smakiem, wziął kromkę ciepłego chleba, posmarował masłem i miodem, ugryzł kawałek.

- Nie jadłem domowego chleba od dzieciństwa - powiedział. - Istny nektar.

- Och tak! - Parsknęła śmiechem. Niewłaściwie użył słowa „nektar”. Cieszyła się, że to śniadanie mu smakuje. Wczoraj prawdopodobnie jadł byle co, pomyślała. Słyszała

od Samantha, że nie ma żony i mieszka sam w ślicznym białym domku przy trasie 341.

Była ciekawa, czy ma dziewczynę. Ma, oczywiście. Taki przystojny i miły, kobiety na pewno latają za nim. Coś ją ukłuło w sercu, nie bardzo wiedziała, co. Zawieść? Zazdrość? Czy może po części jedno i drugie? Oczywiście on nigdy się mną nie zainteresuje, szkoda marzyć, myślała. A jednak po ich pierwszym spotkaniu wciąż o tym marzyła. Na próżno odsuwała myśl o nim. Marzyła nawet o jego objęciach, popuszczała wodze fantazji. Teraz, przypominając sobie te wizje, poczuła, że się rumieni.

Szybko wstała i podeszła do blatu, pewna, że twarz ma szkarłatną. Była dojmująco świadoma obecności Jake'a w jej domu. Jakoś tę kuchnię napełniał swoją męskością i siłą. I zmysłowością. Takich uczuć nie doznawała od lat, od tyłu lat.

Nalała sobie następny kubek kawy. Upomniała się w duchu: daj sobie spokój z tym Cantrellem. Natychmiast. Jest o wiele za młody, już nie dla ciebie.

Jake, siedząc przy stole, nie odrywał oczu od Maggie. Stała tak, że widział ją *en trois quart*. Znowu podziwiał jej niezwykłą urodę. To kobieta silna, a zarazem kobieca, jak żadna z kobiet dotychczas mu znanych, jednocześnie zaś nie opancerzona, bezbronna. Zapragnął chronić ją. I kochać. Już ją kocha. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

I chciał ją mieć. Tyle już razy miał ją w wyobraźni. Aż zaczynało mu się wydawać, że to się stało naprawdę. Ale oczywiście się nie stało. Gorączkowo zapragnął jej teraz, w tej chwili. Coś go pchało: wstań, podejdź do niej, weź ją w objęcia, pocałuj. Chciał jej powiedzieć, co czuje, ale nie odważył się. Całą siłą swojej powściągliwości nakazał sobie pozostać przy stole.

Podniósł kubek z kawą i ku swemu przerażeniu stwierdził, że ręka mu się lekko trzęsie. Maggie tak na niego działa. Pragnę jej do szaleństwa, pomyślał, a przecież wiem, że to niemożliwe. Boże, co robić?

Odwróciła się. Drgnął zaskoczony. Zapytała:

- Dobrze się czujesz, Jake?
- Dobrze. Bo co?
- Pobladłeś. Masz trochę dziwną minę.
- Czuję się doskonale. Dziękuję.
- Jeszcze kawy?

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Dopiję to, co mam, i może jedźmy już - powiedział, zdumiony, że jego głos brzmi normalnie.

- Tylko pójde po rzeczy - powiedziała. - Zaraz wracam.

Gdy odeszła, rozparł się na krześle i zrobił kilka wdechów. Przecież przy niej nie będzie zdolny do pracy, pomyślał i ogarnęła go panika. Jeżeli ona mi tę pracę rzeczywiście zaproponuje, muszę odmówić. I natychmiast odepchnął tę myśl. Potrzebne mu duże zlecenie, jeżeli jego firma ma się rozrastać i kwitnąć. I nie tylko to, potrzebna mu jest Maggie, codziennie, mimo że jej bliskość może okazać się torturą.

Jake Cantrell nie wątpił, że jego szalone marzenia o Maggie Sorrell nigdy się nie spełnią. Są dwojgiem ludzi z dwóch różnych światów, ktoś taki jak on wcale jej nie interesuje. Owszem, jest gotowa dać mu szansę, żeby się zajął instalacjami elektrycznymi na farmie, którą ona urządziła. Ale dlatego, że uważa go za dobrego fachowca. To musi mu wystarczyć.

Wyjechali z Kent. Jake prowadził furgonetkę zgodnie ze wskazówkami Maggie.

Zadurzony w niej, chciał, żeby miała o nim jak najlepsze zdanie, więc nie kwapił się do rozmowy, w obawie że mógłby powiedzieć coś niestosownego. Długo jechali, milcząc.

Maggie z kolei myślała, że on jest z natury nieśmiały, zamknięty w sobie. Już na początku ich znajomości uznała, że to człowiek skołatany, do głębi zraniony, i trzeba traktować go delikatnie.

Po własnych bolesnych przeżyciach Maggie współczuła Jake'owi, wydawało jej się, że go rozumie, chociaż właściwie go nie zna. Sama przez dwa lata borykała się ze swoim bólem, aż w końcu zdołała odzyskać wiarę w siebie, ale dobrze wiedziała, że klęski uczuciowe mogą pozostawić dosyć trwałe ślady. Gdy Mike ją porzucił, gdy jej małżeństwo się rozpadło, długo miała odrętwiałe serce.

Zaczęła teraz, w furgonetce, spokojnie omawiać z Jake'em sztukę, nad którą oboje pracowali, projekty scenografii i oświetlenia. Trochę go ożywiła; w rezultacie nawet z entuzjazmem, przystępnie objaśniał, jakie efekty planuje.

Słuchała, komentowała tylko od czasu do czasu. A on, w miarę jak się przed nią otwierał, stawał się coraz bardziej pewny siebie, opowiadając o swojej pracy.

* * *

Wkrótce już skręcili w białe wrota i aleją wjazdową wjechali na Plecakowe Wzgórze, na farmę, którą Maggie miała przeobrazić w komfortową wiejską rezydencję.

Jake zaparkował furgonetkę przy dużej czerwonej stodole, wysiadł i podszedł do drzwiczek z drugiej strony, żeby pomóc Maggie wysiąść. Wyciągnął do niej rękę. Zeskakując, straciła równowagę, zatoczyła się na niego. Chwyił ją, przytrzymał w ramionach, przez krótką chwilę czuł tuż przy sobie. Odsunęli się od siebie szybko, oboje onieśmieleni.

Maggie się odwróciła, obciągnęła kurtkę, chcąc pokryć nagle zmieszanie, sięgnęła do furgonetki po teczkę i torebkę, po czym ruszyła w kierunku domu.

Jake przełknął ślinę, zamknął furgonetkę i rozejrzał się wokoło.

Widok był wspaniały.

Zbocze wzgórza przecinała aleja między dobrze utrzymanymi trawnikami, dalej, na tle gór częściowo otaczających tę farmę, rozciągały się łąki. Mniejszy trawnik kończył się w cieniu potężnego starego klonu przy kamiennym

murku z wieżyczką, który wyglądał jak dekoracja teatralna, obsadzony bylinami w stylu angielskim.

Jake przysłonił oczy ręką. Z daleka zobaczył sad jabłoni.

- Co za miejsce! - wykrzyknął. - Pięknie tu! Chciałbym kiedyś mieć taką posiadłość.

- Więc na pewno będziesz miał. - Maggie z uśmiechem odwróciła się do niego. - Jeżeli naprawdę bardzo się czegoś chce, zwykle się to zdobywa. Ciężką pracą, oczywiście. - Wskazała budynek. - Ten mały to domek dozorczyńi, a na prawo jest główny dom. Chodź, chcę cię oprowadzić. - Szła pierwsza, mówiąc dalej: - Powiedziałam pani Briggs, że przyjedziemy, więc drzwi frontowe są otwarte. - Spojrzała na niego przez ramię.

Zrównał z nią krok i weszli do domu razem, ocierając się o siebie ramionami w wąskich drzwiach.

W sieni, chociaż światła się paliły, było ciemno. Musiał oswoić oczy z półmrokiem.

- Bardzo to stare - zauważył. Poszedł naprzód, zajrzał do kilku pokoi łączących się z sienią.

- Och tak, mniej więcej z tysiąc siedemset czterdziestego czy pięćdziesiątego roku - powiedziała Maggie. - Dom był urządzony w stylu wczesnoamerykańskim, meble autentyczne. Ale większość została sprzedana. Moja klientka zatrzymała tylko kilka sztuk.

- Pomyśl, Maggie, to dom jeszcze sprzed rewolucji amerykańskiej. Boże, ile te ściany mogłyby nam powiedzieć, gdyby umiały mówić.

Maggie się roześmiała.

- Rozumiem cię. Też często o tym myślę. To znaczy, w innych domach, zwłaszcza w Anglii i we Francji.

- Czyja to była farma? - zapytał.

- Niejakiej pani Stead. Od kilkuset lat należy do rodziny Steadów. Ostatnia pani Stead umarła półtora roku... nie, dwa lata temu. Starowinka dożyła dziewięćdziesięciu pięciu lat. Jej angielska wnuczka odziedziczyła tę posiadłość, ale z mężem i dziećmi mieszka w Londynie, najwi-

doczniej woli żyć po tamtej stronie Atlantyku. Więc wystawiła to wszystko na sprzedaż. Myślała, że sprzeda Plecakowe Wzgórze od ręki, bo to takie idylliczne miejsce. Ale cena wywoławcza była sześciocyfrowa, a to już nie są lata osiemdziesiąte. Naturalnie znaleźli się chętni, w końcu jednak musiała obniżyć cenę.

Jake przytaknął:

- Mnóstwo ludzi, którzy chcą sprzedać swoje weekendowe domy tutaj, już zdaje sobie sprawę, że hossa z lat osiemdziesiątych się skończyła. No dobrze ale, kto to kupił? Kim jest twoja klientka?

- To małżeństwo. Anne i Philip Lowdenowie. Prowadzą agencję reklamową przy Madison Avenue. Mieszkają na Manhattanie i chcą mieć weekendową odskocznnię na wsi. Anne pokochała ten dom, zwłaszcza te okolice. Trafiła do mnie za pośrednictwem mojego klienta w New Preston. Powiedziała mi, że jej się podoba mój styl. „Tylko żadnych noworyszowskich akcentów”, powiedziała, kiedyśmy się poznały. Nawet nie zadała sobie fatygi, żeby porozmawiać z innymi projektantami, od razu zaangażowała mnie. Mam unowocześnić dom i domek gościnnie.

- Z pewnością jeden i drugi tego potrzebuje - zauważył Jake. Odwrócił się, spojrzął na Maggie. - Dobrze, od czego zaczniemy?

- Chodźmy najpierw do kuchni. Możemy tam zostawić rzeczy. Zresztą tylko tam jest posprzątane.

Poprowadziła go krótkim korytarzem do sporej kuchni z belkowanym sufitem i dwiema spiżarniami. Dwa małe okna wychodziły na warzywnik i zagony sadzonek z prawej strony starej kamiennej studni.

- Kuchnia przyzwoitej wielkości - orzekł Jake. - Ale za ciemna, niewiele tu światła dziennego, trzeba je uzupełnić naprawdę dobrym oświetleniem.

- Wiem - powiedziała Maggie. - I na tym właśnie polega problem. Cały dom jest taki... taki ponury. Dla mnie osobiście wprost przygnębiający. Lubię lekkość, jasne kolory,

przestrzeń. Postaram się rozproszyć ten posepny nastrój bez dodawania zbyt wielu okien. Nie chcę zniszczyć staroświeckości tego domu. Ostatecznie to jeden z powodów, dla których moi klienci go kupili. Sielski urok i staroświeckość.

- Rozumiem. - Jake jeszcze raz rozejrzył się po kuchni. Podniósł wzrok na sufit, przeszedł się parę razy, zamyślony.

Maggie położyła teczkę i torebkę na kuchennym stole, wyjęła notes, coś sobie zapisała.

Po chwili Jake powiedział:

- Nie sądzę, żeby ta kuchnia przedstawiała zbyt duży problem. Kilka lamp wpuszczonych w sufit plus kinkiety na ścianach i będzie dosyć sztucznego oświetlenia. Można by też pomyśleć o wstawieniu nowych drzwi kuchennych, w górnej części oszklonych.

- Tak, już myślałam o drzwiach... wpadałoby dodatkowo światło dzienne.

- W suficie może tak zwane cylindry? To by ci odpowiadało? Tobie i twoim klientom?

- Owszem, bo nie rzucają się zanadto w oczy. Ale czy można je tu zamontować?

- Chyba tak. Będę musiał nawiercić sufit, żeby zbadać, w jakim jest stanie. Ale nie powinienem mieć z tym specjalnych trudności. To znaczy, jeżeli dostanę to zlecenie.

Maggie popatrzyła na niego, trochę marszcząc brwi.

- Jake, chyba wiesz, że dostaniesz.

- Mógłby ci się nie podobać mój kosztorys. Nie zmieścić się w planach.

- Dołożymy starań, żeby się zmieścił, dobrze, Jake?

Po kilku sekundach, patrząc na nią, odpowiedział:

- Chyba tak. Masz już przedsiębiorcę budowlanego?

- Myślę o zaangażowaniu Ralpha Sloane'a. Pracował już dla mnie. Ma rzeczywiście ogromne osiągnięcia. Lubię jego operatywność i styl. Znasz go?

- Znam. Też już z nim pracowałem. To przyzwoity gość. Czy zaangażujesz architekta? Planujesz zmiany konstrukcyjne?

- Odpowiadam „tak” na oba pytania, Jake. Przedwczoraj poznałam Marka Payne'a...

- On jest najlepszy! - wtrącił entuzjastycznie.

- Też tak uważam. Widziałam mnóstwo jego prac, jest znawcą architektury kolonialnej. Zaimponowały mi jego pomysły. Wiem, że to zlecenie mu się spodoba. - Umilkła i po chwili dokończyła: - Kompletuję dobry zespół, nie sądzisz?

Uśmiechnął się i przytaknął. Ruszył do drzwi.

- Pójdziemy obejrzeć resztę domu?

- Tak. Najpierw pokoje na parterze.

W trzy godziny później wyszli stamtąd, mrużąc oczy w blasku słońca. Wolno podeszli do furgonetki.

Jake oparł się o maskę.

- To wielka robota Maggie, większa, niż początkowo myślałem. Cały dom trzeba okablować na nowo. Instalacje są nietknięte od lat. Ale to jeszcze nie wszystko. Nawet nie zaczęliśmy myśleć o oświetleniu na zewnątrz.

- Tak. - Maggie rzuciła mu zafrasowane spojrzenie. - Ale nie powiesz, że nie chcesz się tego podjąć?

- Nie, oczywiście że nie. Biorę tę pracę, potrzebuję jej. Jak wiesz, rozkręcam nową firmę. No i lubię takie wyzwania. I chcę pracować z tobą, Maggie. - Umilkł, zapatrzył się na nią. Ale zapanował nad sytuacją, nagle zdecydowany, powiedział stanowczo:

- Jedźmy. Zapraszam cię na obiad. Znam dobry lokal z hamburgerami i sałatkami, co kto woli.

- Dobry pomysł - powiedziała Maggie. - Konam z głodu.

Rozdział 7

Jake zapukał do kuchennych drzwi Maggie, odczekał chwilę i wszedł.

Maggie nie było widać. Przeszedł przez kuchnię do tylnej sionki, prowadzącej do jej biura. I nagle zatrzymał się jak wryty.

W ciągu kilku tygodni znajomości z Maggie Sorrell nigdy nie widział jej wzburzonej. Nigdy też nie słyszał, żeby podnosiła głos. Ale teraz prawie wrzeszczała, rozmawiając w biurze przez telefon.

- On to zrobił celowo! Nie przekonasz mnie, że było inaczej! Zrobił to, żeby mnie zranić! Po prostu nie chce, żebym świętowała z wami!

Zaległa cisza.

Domyślił się, że ona słucha, co mówi jej rozmówca. Nie chcąc podsłuchiwać, podszedł do otwartych drzwi biura. Zapukał, zajrzał, podniósł rękę na powitanie.

Maggie, bardzo zaabsorbowana, popatrzyła na niego pustym wzrokiem. Dopiero po chwili odpowiedziała szybkim skinieniem głowy.

Niepewnie się uśmiechnął i wycofał do małego saloniku naprzeciwko biura. Położył na stole kopertę, którą przyniósł, podszedł do okna i, patrząc na ogród, rozmyślał o Maggie.

Jest nie tylko rozgniewana, ale wyraźnie zasmucona. Zapragnął otoczyć ją opieką, żeby niczym się nie martwiła.

Spojrzał na zegarek. Umówili się na szóstą wieczorem i jak zwykle przyjechał o wiele za wcześnie. Wydawało mu się, że ilekroć ma z nią umówione spotkanie, wyprzedza sam siebie. No cóż. Pragnął przebywać z Maggie stale, wprost cierpiał, gdy kończyli pracę i musiał się z nią rozstać.

Znają się zaledwie od pięciu tygodni, ale wydaje mu się, że znacznie dłużej. Zgadza się ze sobą - mają takie same upodobania. Maggie też kocha muzykę i podziwia, że on tyle o muzyce wie. I przyjemnie jest z nią rozmawiać, bo we wszystkim się orientuje, ogląda wiadomości telewizyjne, zwłaszcza, tak jak on, dzienniki CNN.

Wiele poza tym podobało się Jake'owi w Maggie Sorrell. Miała poczucie humoru, śmiała się często i była naprawdę bardzo kobieca. Zdolna, nawet utalentowana, silna i samodzielna, wcale nie była twarda. Wprost przeciwnie. Budziła w nim instynkt opiekuńczy.

Od czasu swej pierwszej bytności na farmie, przed dwoma tygodniami, Jake czuł się w towarzystwie Maggie swobodnie, nabrał pewności siebie. W istocie, od tamtego piątkowego przedpołudnia, kiedy zabrał ją na hamburgery w Kent, uważał, że panuje nad sytuacją.

Ostatnio zauważył, że Maggie liczy się z jego zdaniem; przedwczoraj poprosiła nawet, żeby ją zastąpił w wydawaniu dyspozycji pracownikom na farmie. A więc polega na nim, i to go ucieszyło. Zaprzyjaźnili się. Szkoda tylko, że nie może być nic więcej.

Dziś wieczorem przyjechał, bo mieli omówić szczegóły koszty instalacji elektrycznych na Plecakowym Wzgórzu. Podał Maggie przybliżoną sumę tydzień temu, potem musiał przez niezliczone godziny badać każdy zakątek posiadłości - domu i całego terenu. Teraz miał z Maggie o tym porozmawiać i uzyskać od niej aprobatę gotowego kosztorysu.

Maggie stanęła w drzwiach saloniku.

- Cześć, Jake.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Była bardzo blada. Stała jakoś niepewnie. Ruszył ku niej.

- Źle się czujesz? - spytał cicho, zatrzymując się i marszcząc ciemne brwi.

- Za chwilę będę się czuła świetnie - odpowiedziała. - Niestety, rozgniewałam się i... - Urwała, przygryzła wargę.

- Mogę w czymś pomóc?

- Nie, ale dziękuję za dobre chęci. - Głos jej zadrżał i znów umilkła. Nagle łyzy stanęły w jej niebieskich oczach. Patrzyła na niego bezradnie.

- Maggie, co się stało? - Nie mógł znieść widoku tych łez. Zatroskany podszedł bliżej.

A ona już ruszyła ku niemu. Przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona.

- Maggie, Maggie, o co chodzi? Proszę, powiedz mi, jakie masz zmartwienie?

- Nie chcę o tym mówić... Zaraz mi przejdzie... naprawdę...

Ale płakała na jego ramieniu, mocno się do Jake'a przytulając.

Głaskał ją po włosach i całował w czubek głowy.

- Jestem tutaj - szeptał łagodnie - zaopiekuję się tobą. Proszę, nie płacz. Jestem tu dla ciebie.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego. Ich oczy się spotkały. Czuł, jak ona drży w jego objęciach, i przytulił ją jeszcze mocniej.

Rozchyliła usta lekko, prawie wyczekująco. Pocałował ją, zanim zdążył się powstrzymać.

Przytulona, odwzajemniła pocałunek. Byli prawie tego samego wzrostu.

Pasujemy do siebie, pomyślał. Serce mu łomotało.

Po długiej chwili namiętnego pocałunku odsunęli się od siebie bez tchu, zadziwieni.

Patrząc jej w oczy, powiedział cicho:

- Chciałem to zrobić.

- Chciałam, żebyś to zrobił - szepnęła.

Tym go ośmieliła.

- Od pierwszego wieczora - powiedział - kiedyśmy się poznali, chcę się kochać z tobą.

- I ja...

- Och, Maggie, Maggie.

- Jake.

Pociągnął ją na kanapę, usiadli. Pochylił się nad nią, przyciskając ją delikatnie do poduszek, i całował w powieki, nos, twarz, usta, zagłębienie szyi. Zaczął rozpinąć jej bluzkę. Wsunął pod bluzkę dłoń, ogarnął pierś, jakoś uwolnioną od stanika.

Gdy dotknął piersi ustami, westchnęła głęboko i jęknęła. I pozwoliła się ponieść uczuciom. O swojej przykrości, jeszcze przed chwilą tak bolesnej i oburzającej, zupełnie zapomniała.

Od tygodni myślała o Jake'u i często wyobrażała sobie ich miłość. Teraz prawie nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Usta miał miękkie, chociaż natarczywe, całował delikatnie, ale stanowczo, i gdy nagle przestał, nie poruszyła się. Dlaczego przestał? Chciała, żeby pieścił ją dalej.

Po chwili, z twarzą ukrytą w jej włosach, szepnął:

- Proszę cię, Maggie, chodźmy na górę.

- Dobrze - odpowiedziała.

Wstał, pociągnął ją z kanapy. Obejmując się, weszli na górę po szerokich schodach.

Maggie pchnięciem otworzyła drzwi sypialni. On zamknął je za nimi.

Za oknem światło się zmieniło. Niebo nabrało ciepłej złocistej barwy. W sypialni było promiennie jasno, a przecież ta promienna jasność nie raziła.

Jake ujął Maggie za ramiona i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś tego pewna, Maggie?

- Tak, Jake.

- Kiedy to się stanie, nie będzie odwrotu. Dla mnie.

- Ani dla mnie.

Wziął ją w objęcia.

Stali długo, całując się, dotykając, przyswajając sobie nawzajem swoją bliskość. Odsuwali się od siebie, patrzyli i znów się całowali, coraz bardziej gorączkowo.

Zaczął ją rozbierać, zdjął jej bluzkę, rozpiął stanik - spadły na podłogę u jej stóp.

W końcu przestąpiła stertę tych łaszków i stała, wpatrując się w niego. Pragnienie było wypisane na jej twarzy. Rozpoznał to i lekko skinął głową. Ściągnął sweter przez głowę. Podeszła bliżej, rozpięła i zdjęła mu koszulę. Zrzucił buty i dzinsy, a ona zsunęła rajstopy. Oboje byli już zupełnie nady.

Objęli się, przesuwał swe mocne dłonie po jej ramionach, plecach i niżej, po pośladkach. Podniosła ręce na jego ramiona. Zatopiła palce w jego gęstych włosach.

Poprowadził Maggie do łóżka. Położył ją i pocałował.

- Zaraz wracam - powiedział.

Czekała na niego. Serce jej biło szybko. Od lat tak się nie czuła. Namiętnie pragnęła tego mężczyzny. Wprost nie mogła się go doczekać.

Jake już wracał.

Pomyślała: on jest wspaniały.

Stanął przy łóżku i patrzył na nią. Zauważył, że jej oczy pociemniały. Są teraz ciemnoniebieskie, prawie fioletowe, ciemnofioletowoniebieskie, jak bratki. I pełne pożądania. Ona go pożąda. Serce w nim rosło i rosło jego podniecenie, gdy tak stał, patrząc.

Jest zachwycająco piękna w swojej nagości, opromieniona złocistym światłem uchodzącego dnia. Dotychczas nie wiedział, jak piękne kształty kryją się w luźnych swetrach, grubych kurtkach i szerokich spódnicach. Taka jest smukła, i te krągłe biodra, i długie, długie nogi. Doskonałe piersi, miękko zaokrąglone, skóra gładka i biała.

A Maggie pomyślała, że ciało mężczyzny może być piękne. Jego ciało jest piękne. Taki wysoki, strzelisty, ma szerokie bary i tors, smukłe biodra i długie nogi. Wspaniały. Nie odrywała od niego oczu.

Jake wreszcie położył się przy Maggie. Objął ją, całując jej włosy i szyję. Przesuwał dłonie po cudownych piersiach. Pocałował ją w usta, chętnie, łapczywe.

Całowali się coraz namiętniej. Potem podparł się łokciem i, patrząc jej w oczy, wodząc palcem po linii jej ust, szepnął:

- Pragnę cię tak bardzo. Ale nie chcę, żebyśmy się śpieszyli. Chcę to przedłużyć, smakować. - Wtulił się w nią. - Naprawdę mnie podniecasz, Maggie. Jeżeli nie będziemy ostrożni, to się skończy za szybko. - I gdy uśmiechnięta milczała, dalej mówił cicho: - Pragnąłem tego od dawna. Aż do bólu pragnąłem być z tobą.

- Tak samo ja pragnęłam ciebie, Jake. Ale myślałam, że wcale się mną nie interesujesz.

- Ja to samo myślałem o tobie.

Lekko, czubkami palców, dotknęła jego twarzy.

- Dwoje głupców - powiedziała i przesunęła palcem po jego ustach, myśląc, jak bardzo są zmysłowe.

Zaczął ssać jej palec, pieścić językiem. Zrobiło jej się gorąco. Jakże on ją podnieca... jest coś tak erotycznego w tym ssaniu. Poczwała, że wilgotnieje.

Przestał. Głosem ochryłym ze wzruszenia powiedział:

- Kocham cię, Maggie. Chcę, żebyś to usłyszała teraz. Nie za chwilę, kiedy mówi się takie rzeczy w uniesieniu. Chcę, żebyś wiedziała, że to nie tylko czule słówka. To prawda.

Zdumiona, przytaknęła.

Objął ją za szyję, przyciągnął jej twarz do swojej twarzy. Pocałowała go. Ich usta znów się zwarły, języki się sploły. Tchu jej brakło. Podniecenie, pożądanie ogarnęło ją przemożnie.

Nagle Jake przesunął głowę. Teraz całował jej piersi, brał je w obie dłonie, muskał wargami sutki, aż zjedrniały w swych ciemnych jak śliwka aureolach.

Ogromnie już podniecony, przesunął usta na jej brzuch i w ślad za ustami dłonie, pieszczące, głaszczące, aż spoczęły na kępce włosów u szczytu jej ud.

Podniósł głowę. Oczy miała zamknięte.

- Maggie - powiedział cicho.

- Tak?

- Czy sprawiam ci przyjemność? Czy mogę cię kochać w ten sposób?

- Och, tak.

Zaczął więc łagodnie, pragnąc dać jej rozkosz. Dotykał samego rdzenia jej istoty, z początku lekko, ale jego giętkie palce, w miarę jak ją poznawały, stawały się coraz bardziej żądne. Badał kwiat jej kobiecości biegle, drażniąc, napawał się tą intymnością i tym, że ożywa pod jego rękami.

Maggie leżała nieruchomo, prawie nie oddychała. Tęskniła do niego niepomahowanie, jej ciało dojmująco tęskniło do jego ciała. Czuła, jak coraz bardziej się przed nim otwiera, gdy jego usta podążyły tam, gdzie przedtem były palce. Całował i całował, jego język był jak strzała z łuku trafiająca w cel. Roztętniła się pod jego pocałunkami.

A potem nagle uniosła ją spirala upojenia i przetoczyły się przez nią fale niewypowiedzianej rozkoszy. Drgnęła, sprężyła się. Doprowadził ją do orgazmu.

- Jake! - wykrzyknęła chrapliwie.

Podsunał się, kolanami rozsunął szerzej jej nogi. Erekcję miał potężną, ale ona była dla niego gotowa. I stali się jednością.

Dyszała, poruszając się w jego rytmie, wzlatując z nim gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie była.

Wzlatywała coraz wyżej i wyżej. Miała go w sobie coraz głębiej i znów przetaczały się przez nią fale ekstazy.

Jake, silny i twardy, wznosił się z nią na szczyty jej drugiego orgazmu. Tak właśnie miało być. Tak być powinno, a nigdy dotąd dla niego nie było - dopiero teraz z Maggie, gdy wzlatywała w nieznane, raz po raz szepcząc jego imię.

Wreszcie oddał jej się w orgazmie i wykrzyknął:

- Och, Maggie! Och, moja miłości!

* * *

Kolory nieba znów się zmieniły, w promienną złocistość wsnuł się karmazyn i fiolet. To była ta czarowna godzina zmierzchu przed zapadnięciem zmroku, gdy wszystko wydaje się stonowane, różowe i spokojne.

Jake leżał na Maggie, wtulając głowę w jej pierś. Zaczęła głaskać go po włosach i po plecach. Po chwili stłumionym głosem powiedział:

- Nie chce mi się ruszyć. Zostałbym tak na zawsze.

Milczała. Pocałowała go w czubek głowy, myśląc o tym, co mówił, zanim się połączyli. Mówił, że ją kocha, zaskoczył ją tym wyznaniem. Ale mu uwierzyła. Wiedziała, że jest bardzo szczery. Zresztą czuła do niego to samo, co on do niej, tylko tłumiała swoje uczucia, przekonana, że wcale go nie pociąga. Jakże się myliła. Ale nic z tego nigdy nie będzie, za duża ich dzieli różnica wieku.

Powiedziała impulsywnie:

- Jake, jestem o wiele starsza od ciebie.

- Lubię starsze kobiety. - Roześmiał się. - Są o wiele bardziej interesujące. - Znów zachichotał. - W każdym razie ty nie wyglądasz na starszą.

- Ale jestem. Mam prawie czterdzieści cztery lata.

- Liczby nic nie znaczą. I zapewniam cię, że wyglądasz na trzydzieści dwa, trzydzieści trzy najwyżej. A w ogóle kogo to obchodzi?

- Mnie. Ile ty masz lat?

- Jak ci się zdaje? - zapyta! przekornie.

- Trzydzieści, trzydzieści jeden.

- Źle. Zgaduj jeszcze.

- Nie mogę. Powiedz mi.

- Szesnaście skończę w czerwcu.

- Bądź poważny, Jake.

Znów się roześmiał.

- Dobrze, już dobrze. Mam dwadzieścia osiem lat. Dwunastego czerwca będę miał dwadzieścia dziewięć.

- Czyli o piętnaście lat jestem...

- Kto tak liczy? - przerwał jej stanowczo. Podniósł się, położył przy niej, wziął ją w objęcia.

I znów zaczął ją całować, najpierw czule, a potem coraz namiętniej. W pełni zmobilizowany, posiadał ją szybko, bez wstępów, bardziej władczo niż przedtem.

- Ojej, jak ja ciebie pragnę - jęknął w jej włosy. - Nigdy aż tak nie chciałem kobiety. Chcę ciebie, Maggie. Chcę mieć cię całą. Zbliź się do mnie, błagam, zbliź się.

- Och, Jake! - wykrzyknęła. - I ja chcę ciebie, na pewno to wiesz.

Wsunął ręce pod jej pośladki, przywarł do niej. Poruszali się razem harmonijnie, unosząc się i opadając, zjednoczeni. I znów wzlcieli razem, porwani gorącym wichrem namiętności.

Potem leżeli nieruchomo, zdyszani.

Jake pierwszy nabrał tchu.

- I ty myślisz, że wiek coś znaczy - powiedział w jej szyję. - Przecież liczy się tylko to, ta... ta nasza więź, Maggie. To nieczęsto się zdarza, przynajmniej nie aż tak, nie z taką mocą. To bardzo rzadkie... - I gdy milczała, zapytał: - Czy nie wiesz o tym?

- Wiem.

- To, co nas łączy, jest czymś bardzo potężnym, i możesz mi wierzyć, wiek nie ma tu nic do rzeczy.

Zjedli kolację we dwoje w kuchni, prosty posiłek, który Maggie przygotowała naprędce. Były angielskie bułki, jajecznica i kawa.

- To raczej przekąska, niestety - powiedziała, uśmiechając się. - Nie zdążyłam w tym tygodniu zrobić dużych zakupów.

- Mnie głód nie doskwiera. - Jake też uśmiechnął się do niej i zapytał: - Czy mogę dostać to samo na śniadanie? Pozwolisz mi tu przenocować, prawda?

- Jeżeli chcesz - odpowiedziała, nagle onieśmielona.

- Chcę. - Sięgnął przez stół i uściśnął jej rękę, po czym podniósł do ust i ucałował. - Masz piękne ręce, Maggie, palce takie długie i zwinne. I cała jesteś piękna. Pokręcił głową. - Och, jak ty na mnie działasz... Mógłbym natychmiast wrócić do łóżka i zacząć wszystko od początku. - Całował czubki jej palców, kłykcie i zagłębienia między nimi. Odwrócił dłoń i ucałował jej wnętrze. Spojrzał Maggie w oczy. - Nie miej co do tego żadnych wątpliwości. To prawda.

Patrzyła na niego, widziała na jego twarzy powagę, w ciemnozielonych oczach tyle tęsknoty do niej, że się wzruszyła. Aż ją ścisnęło w gardle.

- Och, Jake - zdołała tylko powiedzieć i przez moment była bliska płaczu.

Jak gdyby wyczuwając to i nie chcąc, żeby się rozpląkała, Jake wstał od stołu.

- Dolać ci jeszcze kawy? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Napełnił ponownie swoją filiżankę i wrócił do stołu. Milczeli oboje. Po długiej chwili Jake powiedział cicho:

- Byłaś dziś bardzo zdenerwowana, Maggie.

- Tak, byłam - przyznała. Spojrzała mu w oczy. - Myślę, że powinnam ci coś wyjaśnić.

- Jak uważasz, to zależy od ciebie. Nie chcę być wścibski.

- Któraś dnia Samantha napomknęła o moim rozwodzie, więc wiesz, że jestem rozwódką. Wiesz o tym, prawda?

- Tak. Zorientowałem się.

- Ale nie wiesz, że mam dwoje dzieci. Syna i córkę. Bliźnięta. Za parę tygodni ukończą dwadzieścia jeden lat. Mieszkają w Chicago. Studiują w Northwestern. Otóż miałam nadzieję, że będę z nimi w ich urodziny, ale ojciec, mój były mąż, zabiera ich na długi weekend do Kalifornii. Beze mnie. Kiedy dziś przyjechałeś, rozmawiałam z Hanną, moją córką, właśnie o tym. Naturalnie bardzo się zdenerwowałam. Bo zostałam wykluczona z obchodów.

- Rozumiem. Paskudny numer, no nie? - Uniósł brwi i pospiesznie dodał: - Moim zdaniem, paskudny.

- Moim też. - Maggie kiwnęła głową. - Ale to typowe.
- Jak to?

Westchnęła.

- Nigdy nie byłeś żonaty, nie miałeś dzieci, Jake, więc trudno ci zrozumieć te wszystkie komplikacje. W każdym razie nie ma już o czym mówić. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że ta moja przykra osobista sprawa nie ma nic wspólnego z naszą pracą.

Skinął głową i zmienił temat.

Rozdział 8

Dzwonek telefonu wyciągnął Maggie spod prysznic. Owinęła się prześcieradłem kąpielowym i przebiegła przez sypialnię. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- To ja.

- Cześć, Jake! - wykrzyknęła, jak zwykle uszczęśliwiona, że słyszy jego głos. - Jesteśmy nadal umówieni na dziesiątą, prawda?

- No jasne - odpowiedział Jake szybko. - Tylko że chciałbym spotkać się z tobą trochę wcześniej. Czy to możliwe?

- Oczywiście, Jake. Coś się stało?

Po chwili wahania odpowiedział raczej niepewnie:

- Nie, nic, Maggie. Po prostu chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym? Taki jesteś tajemniczy. Powiedz mi teraz, Jake. Powiedz przez telefon.

- Wolę ci powiedzieć osobiście, Maggie. Oko w oko. Naprawdę wolę.

Zaniepokoiła się, ale знаła go dobrze, wiedziała, że teraz, jeśli nie chce, nic jej nie powie.

- Więc zgoda. O której?

- O wpół do dziesiątej. Chyba że to ci nie odpowiada?

- Odpowiada. Przyjedziesz tutaj?

- Nie. Będę czekał na farmie.

- Świetnie.

- No to na razie.
- Do widzenia, Jake.

Stała z ręką na aparacie telefonicznym, zaintrygowana. Dziwny był ten telefon. Jake rozmawiał z nią prawie szorstko. To do niego niepodobne. I wyczuła, że jest zdenerwowany. Zamierza z nią zerwać. No bo cóż innego?

Usiadła ciężko na łóżku, nagle cała drżąca w ten śliczny majowy poranek, słoneczny i ciepły. Serce jej zamierało. Tak, to o to chodzi. Koniec miłości. Z westchnieniem położyła się i przyknęła oczy, myśląc o Jake'u Cantrellu. Akurat tydzień temu po raz pierwszy kochali się w tym łóżku.

Wydawało się Maggie, że od tamtej pory nie przestawali się kochać, oczywiście jednak aż tak nie było. Doskonale sobie przy tym radzili z nawałem pracy na Plecakowym Wzgórzu czy też na farmie, jak nazywali tę posiadłość.

Ale wczoraj Jake był jakiś dziwny, onieśmielony, prawie taki jak w tamten pierwszy wieczór, gdy omawiali z Samantha „Czarownice z Salem”.

Maggie otworzyła oczy i nakazała sobie wstać z łóżka. Wróciła pod prysznic, dokończyła toalety i ubrała się do codziennej pracy.

Ponieważ było ciepło i świeciło słońce, włożyła lekkie granatowe spodnie z gabardyny i takiż żakiecik na białą trykotową koszulkę. Ubrana, zbiegła na dół do swego biura, skompletowała papiery w teczce.

Przed dziewiątą wyszła z domu, wiedząc, że ma dobre pół godziny na dojazd do Plecakowego Wzgórza w południowym Kent.

Gdy tam przyjechała, zobaczyła furgonetkę Jake'a, już zaparkowaną pod starą czerwoną stodołą. Wsiadła ze swego dżipa, wzięła teczkę i zatrzasnęła drzwiczki.

Idąc do kuchennych drzwi domu, starała się opanować. Czego się spodziewała, niemądra?

W kuchni Jake wstał, uśmiechnął się do niej słabo, niemal przepraszająco, ale nie podszedł, co normalnie zaraz by zrobił.

Zauważyła, że jest mizerny, nieswój, jego zielone oczy, zwykle tak pełne życia, są matowe i niespokojne.

- Cześć - powiedziała od drzwi.

Skinął głową.

- Dziękuję, że przyjechałaś wcześniej. Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim wszyscy przyjdą do pracy. Chodź, Maggie, usiądź tu przy stole. Mam mrożoną herbatę w termosie. Chcesz?

Wzruszyła ramionami i podeszła do stołu.

- Czemu nie? - Usiadła, poczekała, żeby podał jej tę herbatę, podziękowała i zapytała: - O czym nie chciałeś mówić przez telefon, Jake? Co to za sprawa? - Usłyszała w swoim głosie napięcie i lęk. Zirytowała się.

Odchrząknął kilka razy.

- Strasznie się czuję od tygodnia, Maggie, naprawdę strasznie. Odkąd kochaliśmy się w środę. - Znów odchrząknął. - Ja... ja... Słuchaj, nie byłem wobec ciebie w porządku.

Wpatrując się w niego, zapytała:

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jake?

Westchnął, zatroskany, i nagle zaczął pośpiesznie wyjaśniać:

- Nie byłem wobec ciebie uczciwy. To nie znaczy, że cię okłamałem, bo nie okłamałem, ale jest coś, o czym powinienem był ci powiedzieć. Mam okropne wyrzuty sumienia. Już dłużej tego nie wytrzymam. Dlatego chciałem, żebyś przyjechała dziś trochę wcześniej, dlatego chcę ci wytłumaczyć...

- Co takiego, Jake? - zapytała Maggie, także zakłopotana. - Co usiłujesz mi powiedzieć?

- W środę wieczorem mówiłaś, że ja nie zrozumieję, dlaczego się denerwujesz, bo nigdy nie byłem żonaty, nigdy nie miałem dzieci. Ale ja jestem żonaty, Maggie, powinienem był ci o tym powiedzieć. Nie powiedziałem, zataiłem prawdę. To mnie dręczy.

Maggie, odchylając się na krześle, wlepiała w niego duże niebieskie oczy.

- Jesteś żonaty i zdradzasz żonę. O to ci chodzi?

Zdenerwował się.

- Nie! - wykrzyknął gwałtownie. - Jestem z nią w separacji już od roku. Załatwiamy rozwód. Mieszkam sam i rzadko widuję się z Amy. I mam nadzieję, że wkrótce znów będę kawalerem. Ale słuchaj, przecież powinienem był powiedzieć ci o tym od razu. Przepraszam - dokończył cicho.

Słyszała w jego głosie żal, widziała skruchę na jego urodziwej twarzy. Wzięła go za rękę.

- Nieważne, Jake, naprawdę.

- Jesteś zła na mnie?

Potrząsnęła przecząco głową i uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście że nie. Ja tak łatwo nie wpadam w złość. Musi być coś rzeczywiście nie w porządku, żeby mnie rozłościć... Zdrada moich dzieci, na przykład.

Popatrzył pytająco.

- Nie wyjaśniłaś mi tego... Nie bardzo rozumiem.

Odetchnęła głęboko.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze jak należy, ty i ja, Jake. Byliśmy znajomymi z jednego zespołu dramatycznego, później zaczęliśmy pracować razem, a potem niespodziewanie zostaliśmy kochankami. Niewiele o sobie wiemy. Więc teraz ja ci opowiem o mnie. Dobrze?

- Tak, Maggie. Chcę wiedzieć wszystko.

Zaśmiała się.

- Nie jestem pewna, czy wszystko ci opowiem. Chyba powinnam trochę pozostać sfinksem, nie sądzisz?

Roześmiał się także i przytaknął.

- Dwa lata temu mąż odszedł ode mnie do młodszej kobiety. Mike Sorrell, bardzo wzięty adwokat w Chicago, porzucił mnie dla dwudziestosiemioletniej koleżanki po fachu, z którą prowadził jakąś sprawę. Powinnam była przewidzieć, co się stanie, bo od dawna między nami nie układało się dobrze. Od bardzo dawna. Ale o wiele bardziej dotknęła mnie postawa moich dzieci. Naprawdę nie

pojmuję, dlaczego oni oboje stanęli po stronie Mike'a, pomimo że to Mike był winny. - W zamyśleniu dodała cicho: - No, ale on jest tym rodzicem, który ma pieniądze.

- Gówniarze - powiedział Jake i trochę się zarumienił. - Przepraszam - bąknął. - Przeholowałem.

- Nie szkodzi, Jake, rozumiem i czasami myślę tak samo. W każdym razie chciałam, żeby obchodzili swoje dwudzieste pierwsze urodziny ze mną. Napisałam, co planuję, w liście do Hanny parę tygodni temu. Kiedy mi nie odpisywała, zadzwoniłam do niej. Przyszedłeś na sam koniec tej rozmowy. Otóż moje bliźnięta będą obchodzić urodziny z ojcem. Tatuś ich zabiera na cały ten weekend do jakiejś pięknej gospody w Sonome.

- Nie zostałeś zaproszona?

- Nie.

- Przykro mi, Maggie, naprawdę przykro, że oni tak cię ranią. Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

- Dziękuję, Jake. - Uścisnęła mu rękę. - Ale już mi lepiej, już to przebolełam. No, mniej więcej. - Westchnęła. - Myślę, że poniekąd ich wykreśliłam... Nie okazują mi wiele zainteresowania, odkąd to wszystko się stało. - Zmusiła się do uśmiechu. - Chyba nie byłam dobrą matką.

- Sądząc z tego, co o tobie wiem - wykrzyknął Jake - ręcę, że byłaś matką na medal! Ale dzieci w takiej sytuacji potrafią być... zdrajcami. To chyba najlepsze określenie. Patty, moja siostra, przeżywa coś bardzo podobnego. Wyszła za mąż dwa lata temu. Za rozwodnika. Jego dzieci zachowują się paskudnie. Nie tylko wobec niego, ale i wobec niej. Ona przecież nie miała nic wspólnego z rozwodem ich rodziców. Bill był wolny od czterech lat, kiedy go poznała. Wszystko pomiędzy nim i jego dziećmi układało się podobno dobrze, dopóki się nie ożenił z Patty. Wtedy te bachory zrobiły się wredne, uważają ojca za swego wroga. - Pokręcił głową. - Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

- Powiedziałeś, że jesteś w separacji, Jake. Masz dzieci?

- Nie mam. Niestety. No, może nie powinienem tak mówić teraz, kiedy się rozwodzimy. Ale chciałem mieć. Amy nie chciała.

- Rozumiem - szepnęła Maggie. Przejrzała go na wskroś. - Pewno ożeniłeś się bardzo młodo.

- Miałem dziewiętnaście lat. Amy tyle samo. Przyjaźniiliśmy się od dwunastego roku życia. Byliśmy parą jeszcze w gimnazjum.

- Ja też młodo wyszłam za mąż, zaraz po ukończeniu college'u w Bennington. Miałam dwadzieścia dwa lata. W rok później przyszedł na świat bliźnięta.

- I przez cały czas małżeństwa mieszkałaś w Chicago?

- Tak. To rodzinne miasto Mike'a. Ja pochodzę z Nowego Jorku, dorastałam na Manhattanie. A ty skąd jesteś, Jake? Z Kent?

- Nie. Z Hartford. Tam się urodziłem. Po ślubie przez parę lat mieszkałem tam z Amy, potem przenieśliśmy się do New Milford. Kiedyś się rozstaliśmy w zeszłym roku, mieszkałem w pracowni przy ulicy Bankowej. Aż znalazłem sobie domek przy trasie trzysta czterdzieści jeden.

- Gdzie Amy mieszka teraz?

- Nadal w New Milford. - Jake pociągnął łyk mrożonej herbaty. - Czy Samanthę znasz z Nowego Jorku? - zapytał. - Stamtąd, gdzie dorastałaś?

- Nie. Poznałyśmy się w Bennington. I natychmiast zostałyśmy przyjaciółkami, serdecznymi przyjaciółkami. - Maggie uśmiechnęła się czule na myśl o Samancie. - Nie wiem, co bym zrobiła bez niej. Zwłaszcza przez ostatnie dwa lata. Chyba bym nie przetrwała.

- Och, przetrwałabyś - powiedział Jake z niezłomnym przekonaniem. - Jesteś z natury niezniszczalna. To właśnie w tobie podziwiam, Maggie. Twoją siłę charakteru, twoją elastyczność. Jesteś wyjątkową kobietą. Nigdy takiej jak ty nie spotkałem.

- Dziękuję. I ja nigdy nie spotkałam takiego mężczyzny jak ty.

Patrzył na nią. Ona patrzyła na niego. Zapytał cicho:

- Więc mnie nie odtrącisz?

- Nie odtrącę - powiedziała.

- I wszystko jest dobrze między nami?

Przytaknęła z uśmiechem.

Też się uśmiechnął, pełen ulgi.

- Nie zniósłbym, gdybyś się ode mnie odwróciła.

Nagle Maggie roześmiała się, też pełna ulgi.

- Zupełnie to samo mogę tobie powiedzieć.

- Zobaczymy się dziś wieczorem?

- Och, tak.

- Może byś przyjechała do mnie? Na makaron i sałatę.

Chciałbym omówić ostateczny projekt oświetlenia „Czarownic”.

- Świetnie. A ja bym chciała pokazać ci rysunki sceny i uzgodnić moje projekty z tobą. Niewiele czasu zostało, zwłaszcza że Samantha i ja wyjeżdżamy.

- Och! Kiedy? - zapytał zdumiony.

- Za sześć tygodni. W lipcu.

- Dokąd?

- Do Szkocji. Potem, w drodze powrotnej, zatrzymamy się na kilka dni w Londynie. Planowałyśmy taki wypad od dawna. Po części w interesach.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział Jake. Ale jak bardzo, nie wiedział, dopóki nie wyjechały.

Rozdział 9

W całym swoim życiu Jake nigdy nie tęsknił do nikogo tak, jak teraz do Maggie Sorrell. Nie było jej zaledwie od pięciu dni, a jemu się wydawało, że to już pięć miesięcy.

Dopiero za półtora miesiąca Maggie wróci do Kent. Już odliczał każdy dzień niecierpliwie. Był rad, że łączy go z nią również praca na Plecakowym Wzgórzu. Wszędzie tam widział ślady jej obecności.

Z myślą o niej wybrał się dwa razy do teatru w Kent, żeby dopracować oświetlenie „Czarownic”, i zamierzał tam być jeszcze nieraz przed jej powrotem.

Lubił gawędzić z Alice Ferrier, projektantką kostiumów, znajomą Samantha i Maggie, i z pracownikami, którzy wykonywali dekoracje zaprojektowane przez Maggie. To mu dawało poczucie przynależności do jej zespołu, jak gdyby do dużej rodziny, i cieszyła go ta więź, pomagała znosić rozłąkę.

Jake, dopóki nie spotkał Maggie, był samowystarczalny. Zajmował się swoim zakładem elektrotechnicznym, robił, co chciał, widywał się od czasu do czasu z kolegami i miał dwa krótkotrwałe romanse. Ale nigdy nie zdawał się w niczym na nikogo.

Teraz miał wrażenie, że Maggie jest mu potrzebna do życia jak powietrze, i to go trapiło. Nie chciał być zależny, a czuł się nie opancerzony.

Na początku ich miłości, tamtej nocy, gdy po raz pierwszy spalili razem, powiedział Maggie, że ją kocha. Powiedział

prawdę. Ale Maggie się nie zadeklarowała. Tym właściwie się nie martwił, chociaż pragnął usłyszeć od niej wyznanie. Wiedział, że jest jej drogi. Bardzo drogi. Wciąż to bezwiednie okazywała.

Myślał o Maggie, idąc z kuchni przez podwórko do starej czerwonej stodoły, w której miał pracownię i warsztat. Teraz chciał ukończyć naszkicowane już plany oświetlenia Plecakowego Wzgórza. Żałował, że Maggie nie była z nim dzisiaj na farmie. Ostatecznie rozwiązał zawily problem zainstalowania światła wśród drzew i chętnie by jej to wszystko przedstawił.

Na ścieżce zatrzymał się i patrzył, jak niezwykle brązowy ptak z pomarańczową piersią sfruwa z olbrzymiego dębu przy trawniku i skacze po trawie. Co to za ptak? Nigdy dotąd takiego nie widział. Wokół jego domu na łąkach i dalej, na moczarach, roiło się od dzikiego ptactwa. Szczególnie polubił gęsi kanadyjskie i kaczkę.

Przed stodołą znów się zatrzymał, gdy wiewiórka ziemna zabiegła mu drogę i zniknęła w rozpadlinie starego kamiennego murku. Cała ta posiadłość była schronieniem różnych zwierzątek, wiewiórek i królików. Przemknęło mu przez myśl: przecież to istna kraina czarów dla dzieci. Usłyszał, że w stodole dzwoni telefon, ale zanim się uporał z zacinającym się zamkiem w drzwiach, dzwonicie ustało.

Może Maggie telefonowała ze Szkocji? Obiecała odezwać się w tym tygodniu. Wszedł do stodoły i od razu wcisnął guzik automatycznej sekretarki:

- Jake, to ja - powiedziała Amy. - Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo pilne. Proszę, zadzwoń do mnie.

Nakręcił jej numer. Sygnał buczał, buczał. Nie odbierała. Tak jak wczoraj wieczorem, gdy zareagował na taką samą wiadomość przekazaną przez automatyczną sekretarkę. Najwidoczniej Amy chce mu coś powiedzieć, ale kiedy on do niej telefonuje, jej nie ma.

Podchodząc do długiego stołu służącego jako biurko, postanowił kupić Amy automatyczną sekretarkę. Dotychczas

nie zadała sobie tej fatygi, chociaż radził jej to już przed miesiącem. No cóż, trzeba samemu się tym zająć.

Westchnął cicho. Oto historia jego życia z Amy. Odkąd pamiętał, nawet gdy byli dwunastoletnimi dziećmi, zawsze to on musiał myśleć o wszystkim, zawsze musiał się nią opiekować. I Amy nadal jest jak małe dziecko. Nie upora się z najprostszym choćby zadaniem. Właśnie to tak go irytowało.

Dziwne, że chciałby opiekować się Maggie, która opieki nie potrzebuje. Jest kobietą zaradną i samodzielną. Już poznał ją dobrze. Podziwiał jej inteligencję i zmysł praktyczny, a przecież pragnął ją chronić. Widział w niej wrażliwość, miękkość, a to go najbardziej pociągało.

Odsuwając myśli o Maggie i Amy, zapalił lampę kreślarską i zaczął szkicować system oświetlenia zewnętrznego na Plecakowym Wzgórzu.

Czerwona stodoła, w której pracował, stała się bardzo ważnym przybytkiem. Była przestronna. Nie tylko mógł tu wygodnie projektować efekty świetlne, majstrować przy lampach i innym sprzęcie elektrycznym, ale i malować swoje obrazy na sztalugach stojących pod dużym oknem. Pracownia kreślarska, warsztat, studio malarskie stanowiły w tym obszernym pomieszczeniu trzy odrębne działy. Umeblował je skąpo. Ściany pomalował na biało i poza tym, co było mu potrzebne do pracy, wstawił tu tylko wieżę, żeby słuchać muzyki, kiedy tylko zechce.

Przez godzinę ślęczał nad planami oświetlenia drzew na Plecakowym Wzgórzu, a potem jeszcze raz spróbował zatelefonować do Amy. Nie odbierała, więc znów skoncentrował się na planach. Zawsze miał niepodzielną uwagę.

O dziewiątej skończył pracę, pogasił światła, wyszedł ze stodoły i wrócił do domu. Znalazł w lodówce zimne piwo, zrobił sobie kanapkę z serem i pomidorem i wziął tę wieczorną przekąskę do saloniku. Włączył telewizor, usiadł w fotelu, jadł kanapkę, popijał piwem i zmieniał kanały TV bez zainteresowania. Myślał o Maggie, tęsknił do niej.

Poderwany dzwonkiem telefonu, skwapliwie podniósł słuchawkę.

- Halo! - wykrzyknął. Miał nadzieję, że to Maggie.

- To ja - powiedziała Amy. - Od dwóch dni proszę cię o telefon. Dlaczego ty do mnie nie dzwonisz, Jake?

- Dzwoniłem, Amy. - Usiłował stłumić zniecierpliwienie. - Zostałem twoją wiadomość wczoraj wieczorem, kiedy wróciłem z pracy. Dzwoniłem do ciebie. Bez skutku. Dzwoniłem też do sklepu dziś rano, powiedzieli, że masz wolny dzień. Dziś wieczorem nie zdążyłem odebrać twojego telefonu, spóźniłem się o kilka sekund. Kiedy zadzwoniłem w parę minut później, ciebie nie było. Widocznie zaraz wyszłaś z domu.

- Do kina z Mavis.

- Rozumiem. - Odchrząknął. - Powiedziałaś, że chcesz ze mną porozmawiać i że to pilne. Co to takiego?

- To bardzo ważne.

- Więc powiedz teraz, Amy. Słucham. - Usiadł na poręczy kanapy. Amy milczała. Zapytał, starając się mówić spokojnie. - No, mów, Amy, o co chodzi.

- Nie przez telefon. Muszę porozmawiać z tobą osobiście. Czy możesz przyjechać?

- Teraz?

- Tak, Jake.

- Amy, nie mogę. Jest późno. Dochodzi dziesiąta, jutro wstaję bardzo wcześnie. Porozmawiajmy przez telefon, jeżeli to dla ciebie takie ważne.

- Nie! Muszę się z tobą zobaczyć.

- No, ale ja nie przyjadę do New Milford o tej porze. Odłóżmy to.

- W takim razie czy możesz przyjechać jutro? To naprawdę pilne.

- Dobrze - zgodził się niechętnie.

- Jutro wieczorem, Jake? Mogłabym ci zrobić kolację.

- Nie, nie, nie trzeba - powiedział i szybko zaimprovizował: - Mam być w New Milford jutro rano, kupić sprzęt,

pewne rzeczy do pracy, którą wykonuję w South Kent. Więc może wpadłbym po ciebie do sklepu koło południa? Zabiorę cię na obiad.

- Chyba... No, wolę, żebyś przyjechał teraz.

- Zobaczymy się jutro - powiedział stanowczo. - Dobranoc, Amy.

- Pa, Jake - mruknęła i wyłączyła się.

Później, gdy się rozbierał, uznał, że głupio zgodził się na to spotkanie. Amy na pewno będzie jęczeć, po co rozwód, i namawiać go do powrotu. Próbuje grać na zwłokę. Od jej adwokata nadal nie ma ani słowa. Nawet nie wiadomo, czy rzeczywiście była u jakiegoś adwokata. Postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Muszę, pomyślał, jeśli chcę być kiedykolwiek wolny. Amy, jak zwykle, jest do niczego.

* * *

Gdy się spotkali nazajutrz, Jake przede wszystkim zauważył, że Amy zrobiła wysiłek, by dobrze wyglądać. Związała włosy w koński ogon niebieską wstążką i trochę się umalowała.

Niemniej patrząc na nią przy stoliku w Gospodzie Piechurów w New Milford, dokąd zaprosił ją na obiad, zauważył jej wyraźne zmęczenie. Amy ma dopiero dwadzieścia osiem lat, a przecież wydaje się dużo starsza, jak gdyby trochę zniszczona. Ale to nic nowego, naprawdę; przed laty coś w niej zmatowiało. Szybko więdła. Zasmucił się i zrobiło mu się jej żal. Nie jest zła, tylko nie pozbierana, jakaś wyłączona, nie kontaktująca.

Gawędzili o błahostkach, czytali jadłospis, naradzali się, co zjeść. W końcu oboje zdecydowali się na sałatkę owocową i mrożoną herbatę.

Ledwie kelnerka przyjęła zamówienie i zostali sami, Amy zapytała.

- Więc jaką robotę masz teraz w Kent?

- To farma - wyjaśnił - bardzo stara farma. Malownicza, na pięknym wzgórzu. Dla mnie to wyzwanie, zwłaszcza

oświetlenie wnętrz. Robię też światła na zewnątrz, tak żeby efektownie pokazać basen i krajobraz. Duże zlecenie, jestem tym dosyć przejęty.

Amy przytaknęła:

- Wiem, że lubisz robić trudne rzeczy, fantastyczne, i potrafisz, Jake.

- Dziękuję. - Spojrzał na nią bystro. - Czy o tym chcesz ze mną mówić, Amy?

- Najpierw zjedźmy.

- Dlaczego? Dzwoniłaś do mnie przez dwa dni, nalegałaś, żebym się z tobą spotkał, bo to takie pilne, a teraz z tym zwlekasz.

Kiwnęła głową. Z uporem zacisnęła usta.

Westchnął lekko.

- Cokolwiek mi powiesz, Amy, muszę wrócić do pracy za dwie godziny.

- Mama uważa, że nie powinniśmy się rozwodzić - wypaliła i wypila łyk wody, przyglądając mu się znad szklanki.

- Wiem o tym. - Zmrużył oczy. - Czy dlatego chciałaś się ze mną widzieć? Żeby znów dyskutować o rozwodzie? Matka cię wzięła w obroty?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Właściwie nie.

Pochylił się nad stolikiem i spojrzał jej w oczy.

- Słuchaj, Amy, przykro mi, że nam nie wyszło, naprawdę mi przykro. Ale tak bywa... to się zdarza, wiesz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, kelnerka wróciła, podała im sałatki i jeszcze raz wróciła ze szklankami mrożonej herbaty.

Jedli przez chwilę w milczeniu, a raczej Jake jadł. Amy tylko dziobała swoją porcję widelcem. W końcu odłożyła widelec i wyprostowała się na krześle.

Jake spojrzał na nią i lekko ściągnął brwi. Strasznie jest blada, pomyślał. Bledsza niż zwykle i chyba bliska płaczu.

- O co chodzi, Amy? Co się stało? - Przestał jeść. Gdy zagapiona w niego dziwnie, jak gdyby z przestachem, milczała, powtórzył: - O co chodzi, kochanie?

- Jestem chora - zaczęła i umilkła raptownie.

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

- Nie rozumiem. Zrobiło ci się niedobrze? Czy mówisz o jakiejś chorobie?

- Tak. Byłam u lekarza, Jake. Bo źle się czuję. - Oczy jej napełniły się łzami. - To rak. Powiedział mi, że mam raka jajników.

- Boże! Amy! Nie! Czy on jest pewny? - Jake pochylił się ku niej, ujął jej rękę, mocno ścisnął. - Czy ten lekarz jest tego pewny?

- Och, tak - szepnęła.

Przez chwilę brakowało mu słów. Dobry z natury, ogromnie jej współczuł. Zastanowił się, jak ją pocieszyć, i pojął, że nie ma sposobu. Jego słowa, gdyby zdołał je znaleźć, byłyby słabą pociechą. O wiele lepiej nie mówić nic. Więc tylko trzymał Amy za rękę - chociaż czy to może bodaj trochę złagodzić jej samotność?

Rozdział 10

Wcześniej padał deszcz. Maggie, idąc alejką przez ogród hotelu Słonecznego, przystanęła i podniosła wzrok na niebo. Słońce znów wynurzało się zza lekkich chmur i raptem nad drzewami zajaśniała tęcza, łuk doskonały z różu i błękitu, fioleto i żółcieni.

Maggie uśmiechnęła się w duchu. To dobra wróżba. Jej matka, najbardziej pozytywnie myśląca osoba, jaką знаła, zawsze wierzyła, że tęcza ma podszewkę ze srebra, a na końcu tęczy stoi garnek pełen złota i fruwią tam rajskie ptaki, które przynoszą szczęście.

Mama, niezłomna optymistka, pomyślała Maggie, jeszcze się uśmiechając do najczulszych wspomnień. Dobrze, że odziedzyczyłam po niej ten optymizm. Gdyby nie to, chyba bym nie przetrwała klęski z Mike'em Sorrellem. Wywieźliby mnie w kaftanie bezpieczeństwa. Ale jakoś przetrwałam i życie stało się dla mnie łaskawe. Zastanowiła się - chyba tylko nielicznym dana jest w życiu druga szansa.

Zawróciła do hotelu. Ona i Samantha już w drodze powrotnej do Londynu wynajętym samochodem zatrzymały się tu na noc. Dosyć zmęczone jazdą z Edynburga i Glasgow, dojechały do hotelu Słonecznego dzisiaj, akurat w porze obiadowej.

Był to hotel w Kelso, w okręgu zwanym Pogranicze, bo blisko granicy pomiędzy Szkocją i Anglią. W samym sercu

Roxburghshire. Piękny stary dom, należący kiedyś do księcia i księżnej Roxburghe, został przeobrażony w wiejski zajazd, uroczy i stylowy.

Wnętrze było ładnie umeblowane, pełne miłych staroświeckich sprzętów i pięknych obrazów, komfort łączył się z gościnnym ciepłem. Taki właśnie styl i nastrój Maggie starała się osiągnąć w domach urządzanych dla klientów.

Krajobraz wokół hotelu, bardzo malowniczy, przypominał Góry Północno-Zachodnie w Connecticut. Ilekroć się rozejrzała, zaczynała tęsknić.

Teraz sobie uświadomiła, że pragnie już wrócić do swego domu w Kent. I do Jake'a. Wciąż myśli o nim, wciąż żałuje, że go tu nie ma, żeby dzielić z nią radość tej podróży. Był jej też potrzebny, gdy w Edynburgu i w Glasgow kupowała antyki do domu na Plecakowym Wzgórzu. Ale dobrze kupiła: solidne meble z ciemnego drewna, niektóre ręcznie rzeźbione, wszystkie stare i piękne. Znakomicie będą tam wyglądać w pokojach, utrzymywać klimat siedziby o tradycji wielu pokoleń.

Maggie była rada, że przyjechała z Samantha do Szkocji. Pobyt okazał się korzystny dla nich obu. Oprócz mebli kupiła inne interesujące rzeczy: stare lampy, porcelanę i różne niezwykłe przybory.

Samantha wyłożyła pieniądze na tkaniny, żeby je sprzedawać w sklepie, który miała otworzyć przy swojej pracowni za trzy miesiące. Tak samo jak Samancie, szczególnie podobały się Maggie szkockie wełny, mohery i tartany.

Wszystko poszło świetnie i Maggie postanowiła wrócić do Szkocji w przyszłym roku. Z Jake'em. On nigdy nie był w Europie i niedawno jej wyznał, że chciałby kiedyś zobaczyć Anglię.

Tak więc Maggie znów myślała o Jake'u. Tęskniła do jego serdeczności i cierpkiego poczucia humoru, namiętych pieśzcot i ciągłego troszczenia się o nią. Jake sprawiał, że czuła się potrzebna i kochana, jak nigdy przy Mike'u Sorrellu.

Słyszając wołanie, spojrzała przed siebie, przysłaniając dłonią oczy w blasku słońca. Samantha już szła ku niej.

- Szukałam cię wszędzie! - wykrzyknęła, podbiegła i wzięła ją za rękę.

- Bardzo lubię - powiedziała Maggie - tę porę dnia przed zmierzchem. Jest czarowna.

Samantha przytaknęła.

- Też ją lubię. To tak zwana przez filmowców magiczna godzina. Pewnie uważają, że wtedy jest najlepsze światło do filmowania. Ale wejdźmy pod dach, Maggie, trochę mi chłodno. Po pierwsze, wiatr się zrywa, po drugie, zanosi się na deszcz.

- I ja trochę zmarzłam - przyznała Maggie.

Przyśpieszyły kroku. Po chwili weszły do hotelu. Samantha spojrzała na zegarek.

- Dochodzi siódma - powiedziała. - Chodźmy do salonu, napijemy się. Rozpalili tam ogień w kominku. Cóż z tego, że jest lipiec, oni wiedzą, jakie zimne są szkockie noce, ci miejscowi.

Wkrótce obie siedziały w hotelowym salonie. Głębokie skórzane fotele i kanapy, stare obrazy na ścianach, wazony z kwiatami rozstawione wszędzie i zapachy tych kwiatów - czegoż więcej trzeba, żeby wypoczywać? W ciszy tylko zegar tykał, syczały i trzaskały drwa płonące na palenisku ogromnego marmurowego kominka. Lampy z jedwabnymi abażurami rzucały pastelową lunę.

- Tak tutaj przytulnie, rzeczywiście atmosfera domu na wsi, prawda?

- Trudno ją odtworzyć - powiedziała Maggie. - Brytyjczycy dobrze to robią, może dlatego, że mają taki sposób życia we krwi.

Samantha tylko uśmiechnęła się i pociągnęła łyk białego wina. Spojrzała na Maggie.

- Udał mi się ten urlop, a tobie?

- Och, tak.

Teraz Samantha popatrzyła na nią uważniej.

- Ale brak ci Jake'a?

Maggie się uśmiechnęła.

- Trochę... - Roześmiała się i dodała. - Właściwie bardzo. Jak odgadłaś?

- Wydajesz się chwilami roztargniona... i raczej... no, daleka, to najlepsze określenie.

Maggie milczała. Odwróciła głowę, zapatrzyła się w ogień. Gdy znów spojrzała na swoją najserdeczniejszą przyjaciółkę, była już zdecydowana.

- Chcę ci coś powiedzieć - oznajmiła.

Samantha skinęła głową.

- Dziwna rzecz, ja tobie także chcę coś powiedzieć. Ale ty powiedz pierwsza.

Po krótkiej chwili milczenia Maggie powiedziała.

- Jestem w ciąży, Sam.

- Wielki Boże! Niemożliwe! Nie, z pewnością nie! Nie dzisiaj, nie w tej epoce! Nie mów mi, na miłość boską, że niczego nie stosowałaś!

- Owszem, tak, jestem w ciąży, to pewne. Drugi miesiąc. I, owszem, nie stosowaliśmy niczego.

Samantha patrzyła na nią z ukosa.

- Maggie, istnieje coś, co się nazywa AIDS.

- Tak. Ale... no, ufam Jake'owi. Wiem, że nie jest rozwiązły.

- Kiedy jednak spałaś z Jake'em, to tak jakbyś spała z każdą osobą, z którą on kiedykolwiek był w łóżku... a o tych osobach nie wiesz nic.

Maggie się zamyśliła, po czym zmieniła temat:

- Mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia. Co?

Samantha zawahała się i odchrząknęła.

- Lepiej, żebyś wiedziała, Mag, chociaż może cię to bardzo zabołec. Jake ma żonę. Dowiedziałam się przed naszym wyjazdem, tylko nie chciałam cię denerwować. Ale teraz, kiedy już wracamy do kraju, uważam, że powinnaś to wiedzieć. Celowo z tym zwlekałam, żeby ci nie psuć urlopu.

Maggie szybko ją uspokoiła:

- Przecież ja wiem o tym. Sam mi powiedział kilka tygodni temu. Już w parę dni po pierwszej nocy. Jest uczciwy. Powiedział, że nie mieszka z żoną od roku i załatwia rozwód. Czy słyszałaś, że nadal z nią mieszka?

Samantha potrząsnęła głową.

- Nie, nie.

- Kto ci mówił, że on jest żonaty?

- Klientka. Kupiła mi prezent w sklepie Wszystko do Łazienki w New Milford, taki koszyczek, wiesz, z kosmetykami aromaterapeutycznymi. Powiedziała, że poleciła jej te kosmetyki Amy Cantrell. Chyba jakoś zareagowałam na to nazwisko, bo dodała, że Amy jest żoną Jake'a Cantrella, świętego elektrotechnika. Ale skoro mówisz, że są w separacji, to z pewnością tak jest.

- I on naprawdę mieszka sam - potwierdziła Maggie. - Byłam u niego kilka razy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się rozwodzi?

Maggie wzruszyła ramionami.

- Nie myślałam, że to ważne, Sam.

- Co z dzieckiem, Maggie?

- Urodzę je, oczywiście.

Samantha popatrzyła na nią pytająco.

- A Jake? To znaczy, jak myślisz, co on na to powie?

- Ucieszy się. Mam taką nadzieję. Ale w każdym razie decyzja należy do mnie, i tylko do mnie. Na pewno nie usunę ciąży... - I Maggie z twarzą rozjaśnioną dodała: - Kiedy chodziłam dziś po ogrodzie, nie mogłam nie pomyśleć, że mało kto ma drugą szansę w życiu. Ja mam. To dziecko jest dla mnie drugą szansą, i dla Jake'a, oczywiście. Uważam się za wybrankę losu.

- Myślisz, że Jake będzie chciał się z tobą ożenić?

- Nie wiem. Naprawdę nie przykładam wagi do... legalizacji tego związku. Mogę przecież sama wychować i utrzymywać swoje dziecko. Stać mnie, Sam.

- Mnie nie musisz tego mówić! Wiem o tym aż za dobrze - zauważyła Samantha ze współczuciem.

- Może myślisz, że zwariowałam - zaryzykowała Maggie.
- Ja, czterdziestoczteroletnia baba, w ciąży z o wiele młodszym kochankiem, niespełna trzydziestolatkiem, który jeszcze nie ma rozwodu i może nawet nie zechce mnie poślubić.
- Roześmiała się i bezradnie rozłożyła ręce. - I czy ja chcę wyjść za niego? - Wzruszyła ramionami, uniosła ciemną brew.

Samantha potrząsnęła głową w zadziwieniu.

- Nikt tak jak ty, Maggie, nie potrafi brać się z życiem za bary. Przynajmniej ja nikogo takiego oprócz ciebie nie znam. Nie zapominajmy, że byłaś w dosyć parszywej sytuacji, kiedy twój zacny małżonek po dwudziestu paru latach zdecydował się odmaszerować. Niejedną kobietę by to załamało.

- Nie psuj mi dnia. Nie mów o Mike'u Sorrellu. A wracając do Jake'a, on rzeczywiście mnie kocha.

- Powiedział ci?

- Powiedział.

- A ty go kochasz?

- Tak. Całą sobą!

- Jesteś bardzo dzielna, Maggie.

- Och, Sam, mam wielkie szczęście.

* * *

Samantha Matthews była zadowolona, że z jej inicjatywy zatrzymały się w hotelu Browne. Niedaleko stąd na Piccadilly i na Bond Street, i wszędzie, bo to hotel w samym sercu West Endu. Mnóstwo sklepów wokół i łatwo o tak-sówkę.

Idąc przez Albermarle Street z powrotem do hotelu, Samantha zastanawiała się, co Maggie robi dziś po południu. Maggie uparła się, że wyjdzie bez niej, i była niezwykle tajemnicza. Ale wkrótce się to wyjaśni. Maggie jej powie.

W to parne popołudnie zbierało się na burzę. Samantha uznała, że trzeba poprosić portiera, by zamówił samochód z kierowcą na wieczór. Wybierały się do teatru, a po-

tern na kolację w Ivry. Żadna przyjemność szukać taksówki w deszczu.

Gdy weszła do hotelowego holu, skierowała się prosto do recepcji. Zamówiła samochód, po czym windą pojechała na górę do apartamentu, który zajmowała z Maggie. Taki właśnie prezent zafundowała przyjaciółce na urodziny.

- Przecież już dałaś mi tę wspaniałą torbę - protestowała Maggie w Szkocji, dowiadując się, jakie luksusy czekają ją w Londynie. A ona tylko zbyła to uśmiechem.

W apartamencie jednak Maggie nie było.

Samantha zostawiła torebkę i paczki na kanapie w saloniku i weszła do sypialni. Zdjęła sukienkę, zrzuciła z nóg czółenka na wysokich obcasach, włożyła jedwabny szlafrok i wyciągnęła się na łóżku. Tyle godzin biegała po sklepach, teraz chciała wypocząć przed wystrojeniem się na wieczór.

Zaczęła myśleć o Maggie. Kochała ją serdecznie jak siostrę, której nigdy nie miała. Nic więc dziwnego, że zważywszy okoliczności, martwiła się teraz o nią. Sama przecież ją poznała z Jake'em Cantrellem. Czuła się odpowiedzialna za skutki. Jednakże, myślała, Maggie ma czterdzieści cztery lata, jest inteligentna i bardzo mądra. Jeżeli Maggie nie wie, co robi, to doprawdy, któż na świecie wie?

Westchnęła cicho. Nie wątpiła o zaradności przyjaciółki i poniekąd podziwiała jej postawę wobec poczętego dziecka. Ale Jake? Czy spełni jej oczekiwania? Jeśli nie, co wtedy? Czy Maggie rzeczywiście zdoła dźwigać ciężar wychowywania dziecka bez ojca? To wymaga odwagi. No, Maggie oczywiście odwagi nie brak, da sobie radę, doszła do wniosku Samantha. I przecież ja jestem, żeby jej pomagać. Uśmiechnęła się do siebie. Nasze motto: na wozie i na wozie, pod wozem i pod wozem! Razem!

Zadzwonił telefon. Aparat stał na szafce nocnej pomiędzy dwoma łóżkami. Leżąc, sięgnęła po słuchawkę.

- Halo!

- To ty, Samantha?

- Tak, ja. Kto mówi? - Nie rozpoznała tego nieco szorstkiego męskiego głosu.

- Mike Sorrell.

Ze zdumienia omal nie upuściła słuchawki.

- Och! - wykrzyknęła, po czym zapytała lodowato. - Co mogę dla ciebie zrobić, Mike?

- Szukam Maggie.

- Tu jej nie ma.

- Jak myślisz, kiedy będzie, Sam?

- Nie wiem - odpowiedziała jeszcze bardziej lodowato, ignorując jego wysiłki, by nadać tej rozmowie przyjacielski ton.

- Czy możesz ją poprosić, żeby do mnie zadzwoniła?

- Dokąd?

- Zatrzymałem się w Connaught.

- Jesteś w Londynie?

- Przyjechałem służbowo.

- Skąd wiedziałeś, gdzie myśmy się zatrzymały?

- Wytropiłem was dzięki twojej pomocnicy w Connecticut. Kiedy u Maggie odzywała się tylko automatyczna sekretarka, zadzwoniłem do twojej pracowni.

- Rozumiem. Przekażę Maggie twoją prośbę.

- Dziękuję - powiedział Mike.

- Żegnaj - burknęła i położyła słuchawkę. Skurczybyku, dodała w myślach, patrząc na telefon spode łba. Gniewnie włączyła telewizor. Zaczął się wieczorny dziennik BBC, ale uwagę miała rozproszoną. Czego byłyby męż chce od Maggie?

W pół godziny później Maggie wkroczyła do apartamentu, obładowana zakupami.

- Cześć, Sam! - Weszła do sypialni, położyła paczki na krześle, zdjęła pantofle. - Deszcz pada. Może powinniśmy dziś wynająć samochód.

- Już to zrobiłam - powiedziała Samantha i usiadła na łóżku. - Siadaj, Maggie, kochana moja. I weź się w garść.

Maggie popatrzyła na nią zdumiona.

- Dlaczego? Co się stało? - Zmarszczyła brwi. - Coś niedobrego, widzę to, masz taką ponurą minę.

- Zgadniesz, kto jest w Londynie? Nie, nigdy byś nie zgadła, nawet nie próbuj. Mike Sorrell. Właśnie dzwonił do ciebie pół godziny temu. Prosił, żebyś do niego zadzwoniła. Jest w Connaught.

- Boże świąty! - Maggie usiadła w najbliższym fotelu, kręcąc głową z niedowierzaniem. - I znalazł nas tutaj? Chociaż właściwie się przed nim ukrywałyśmy.

- Dowiedział się od Angeli. Nie mógł złapać ciebie, więc zadzwonił do mojej pracowni.

Maggie przygryzła wargę.

- Ni stąd, ni zowąd chce ze mną porozmawiać. Dziwne.

- Dla mnie też, Maggie. Zadzwoń do niego?

- Nie wiem. Po co? Gdyby były jakieś kłopoty z Hanną czy Peterem, przecież by ci powiedział.

- Chyba tak. Nie wydawał się zdenerwowany.

Maggie zastanawiała się przez chwilę, po czym powzięła decyzję. Wstała z fotela i spojrzała na Samanthę.

- Zadzwoń do niego zaraz, żeby mieć to z głowy. - Wyszła do saloniku, nagle rześka i zdecydowana.

Samantha zsunęła się z łóżka i poszła za nią.

Maggie podniosła słuchawkę, poprosiła centralę o połączenie z hotelem Connaught. W kilka sekund potem już rozmawiała z Mike'em Sorrellem.

- Mówi Maggie. Podobno chcesz ze mną porozmawiać.

- Cześć, Maggie. Tak, chcę. Mam nadzieję, że możemy się spotkać.

- Po co?

- Muszę coś z tobą omówić. Może dzisiaj? Przy kieliszku albo na kolacji.

- Z pewnością nie.

- Nawet na chwilę?

- Nie. Wieczór mam zajęty.

- Więc jutro? - zaproponował.

- Nie możesz powiedzieć, o co chodzi, teraz, przez telefon? Przecież tak właśnie wszystko załatwiamy od prawie trzech lat.

- Muszę zobaczyć się z tobą osobiście, Maggie.
- Jak się czują bliźnięta?
- Och, dobrze, doskonale. Słuchaj, jest do omówienia pewna nie zamknięta sprawa.

Maggie zdumiona milczała. Szybko jednak podjęła decyzję.

- Jutro rano o dziewiątej. Tutaj, w hotelu Browne. Spotkamy się w kawiarni.

- Wyśmienicie. Do widzenia, złotko.

Maggie położyła słuchawkę na widełki. Oparta o biurko, odwróciła się do Samantha.

- Nie uwierzysz, ten padalec miał czelność powiedzieć do mnie „złotko”.

- Coś się psuje w państwie duńskim! - wykrzyknęła Samantha oburzona. - Ale Hamlet Hamletem. Lepiej, że spotkacie się tutaj. W razie gdybyś mnie potrzebowała, będę w pogotowiu... żeby zabić tego skurczy... och!

Maggie nie mogła nie parsknąć śmiechem.

- Sam, jak ja ciebie kocham. Zawsze mnie rozweselasz. Samantha zerwała się z fotela i podeszła do barku.

- Napijmy się wódki z lodem przed teatrem.

- No... nalej sobie. Ja tylko coś przyniosę z sypialni.

Po chwili Maggie wróciła z małą paczuszką.

- To dla ciebie, Sam, w dowód wdzięczności za te luksusy. - Rozejrzała się po saloniku. - Ale przede wszystkim dlatego, że zawsze jesteś przy mnie i zawsze byłaś.

Samantha wzięła paczuszkę i rozpakowała. Było to czerwone aksamitne pudełeczko. W pudełeczku lśniły kolczyki ze złota i malachitu.

- Och, Maggie, jakaś ty kochana! Zapamiętałaś, że tak mi się podobały w tym sklepie pod arkadami Burlington! Dziękuję ci, dziękuję, są prześliczne. Ale nie powinnaś była. - Podeszła i uściskała Maggie. - Twoja przyjaźń jest dla mnie najważniejszą rzeczą pod słońcem.

Z serdecznym uśmiechem Maggie powiedziała:

- Na wozie i na wozie, pod wozem i pod wozem.

* * *

Nazajutrz rano wstając z łóżka, Maggie zastanawiała się, dlaczego jest taka spięta. Po chwili sobie przypomniała: dziś zobaczę się z Mike'em Sorrellem, zgoda zbyteczne zwracanie głowy.

Po prostu ani nie miała mu nic do powiedzenia, ani nie była szczególnie ciekawa, co on ma do powiedzenia jej.

I przecież nie zostały żadne sprawy, jak on to określił, nie zamknięte. Sprawa ich dwojga od dawna zamknięta jest raz na zawsze.

- Wyglądasz fantastycznie! - wykrzyknęła Samantha, gdy przed dziewiątą weszła do saloniku. - Róża rozkwitła, Maggie. Wyglądasz tak ładnie i radośnie, że on będzie zgrzytał zębami.

- Wątpię. - Maggie się uśmiechnęła. - Na pewno jest bardzo szczęśliwym mężem swojej damy serca. I zakłada swoją nową rodzinę, bo przecież zwykle tego pragną te zdobywcze drugie żony. Mieć mnóstwo dzieci i polisę ubezpieczeniową.

Samantha parsknęła śmiechem.

- Kto wie! Zresztą kogo to obchodzi? Słuchaj, Mag. Rozważyłam twoją sytuację z Jake'em i naprawdę się cieszę. Wiem, że z tej mąki będzie chleb.

Maggie pogłaskała się po brzuchu.

- Co myślisz o dziecku?

- Przyznaję ci rację. Tylko muszę być chrzestną matką.

- A któż inny mógłby być? - Maggie przejrzała się w lustrze, obciągnęła na sobie granatowy spodniom z gabardyny, poprawiła kołnierzyk białej jedwabnej koszuli. - Odczekaj dwadzieścia minut, żebym z nim mogła porozmawiać, i zjedź po mnie na dół.

- Dobrze. I tak przecież mamy być w antykwariacie Keitha Skeela o dziesiątej.

- Więc zobaczymy się za dwadzieścia minut. - Maggie wyszła z apartamentu.

Mike Sorrell już czekał na nią w hotelowej kawiarni.

Wstał i zanim się z nią przywitał, wyraźnie się zawahał, czy ją pocałować, czy podać jej rękę. Wybrał to drugie.

Maggie uściśnęła mu rękę szybko i usiadła naprzeciwko niego. Nie mogła nie zauważyć, że jest znużony i smutny. Twarz miał pomarszczoną, podbródek trochę obwisły, włosy prawie siwe, sprawiał wrażenie człowieka przepracowanego. Nie ubiera się dobrze, stwierdziła, wygląda starszej niż na swoje czterdzieści dziewięć lat. Jake, o dwadzieścia lat młodszy od niego, stanął jej przed oczami. Zamrugała i odwróciła głowę, nie chcąc, żeby Mike zobaczył, że się uśmiecha. Jeszcze by ten uśmiech źle zrozumiał.

Powiedziała:

- Zamówmy kawę, Mike.

- Dziękuję. Chętnie wypiję jeszcze jedną filiżankę. -
Dał znak kelnerowi i zapytał: - Zjesz coś?

Potrząsnęła przecząco głową.

Zamówił więc tylko kawę i milczał, niepewny.

Skorzystała z tej odpowiedniej chwili.

- Dlaczego - zapytała - chciałeś się ze mną widzieć?

Odchrząknął nerwowo.

- Pod koniec zeszłego tygodnia byłem w Nowym Jorku po drodze do Londynu w sprawie klienta. Pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać. Samantha pewnie ci mówiła, że dzwoniłem do jej pracowni, kiedy nie mogłem ciebie zastać.

- Tak, wiem. Ale dlaczego w ogóle chciałeś się ze mną spotkać? Porzuciłeś mnie bez ceregieli prawie trzy lata temu i od tamtego czasu raczej się nie kontaktujemy. Skąd ta niespodziewana zmiana uczuć? - Gdy nie odpowiedział, Maggie dodała: - Nie sądzę, żebyśmy mieli do omówienia jakiejś nie zamkniętej sprawy. Wprost przeciwnie, wszystko między nami się skończyło. - Roześmiała się raczej cierpko. - Postawiłeś to zupełnie jasno, kiedy odszedłeś ode mnie do swojej pani mecenas.

- Nie bądź zawzięta, Maggie - wymamrotał. - Teraz sobie uświadamiam, że...

- Zawzięta! - przerwała mu. - Nie jestem zawzięta! Mój czas jest zbyt cenny, żeby marnować go na zawziętość czy żal, że cię utraciłam, Mike. Mam życie przed sobą i możesz mi wierzyć, żyję, żyję w całej pełni.

- Wyglądasz bardzo dobrze... kwitnąco - powiedział, przyglądając się jej w zamyśleniu.

Wydawał się nawet bardzo smutny, więc przelotnie się zastanowiła, co dzieje się w jego nowym życiu. Ale doprawdy jej to nie obchodziło i nie chciała wiedzieć.

- Słuchaj, Mike - powiedziała. - Jestem umówiona w antykwaracie, nie chcę się spóźnić. Co to za nie zamknięta sprawa, o której mówiłeś przez telefon? Przystąpmy wreszcie do rzeczy.

Nabrał głęboko tchu i powiedział:

- My, Maggie. My jesteśmy tą nie zamkniętą sprawą. Byliśmy razem tak długo, i dobrze nam się żyło, i mamy dzieci... - Urwał, czując wiejący od niej chłód, widząc pogardliwy wyraz jej twarzy.

- Próbujesz mi powiedzieć, że popełniłeś pomyłkę? - wycodziła.

- Tak, popełniłem. Kara za moje grzechy. Nie powinienem był ciebie zostawiać, złotko. Razem było nam najlepiej. Jak powiedziałem, żyliśmy wspaniale...

- Ty żyłeś wspaniale - znów przerwała Maggie. - Ja nie, teraz to wiem. Byłeś samolubny, zapatrzony w siebie, nigdy naprawdę nie myślałeś o moich potrzebach, a kiedy wreszcie odetchnęłam i tak dobrze mi szło w tym biurze projektów, zmusiłeś mnie, żebym przestała tam pracować. Po prostu nie mogłeś ścierpieć tego, że interesuję się czymś poza tobą.

- Nie bądź taka, Maggie. Proszę.

Roześmiała mu się w twarz.

- Ty draniu! Rzuciłeś mnie w najokrutniejszy sposób, prawie ze mną nie rozmawiasz od trzech lat i nagle zjawiasz się i gruchasz! Co to wszystko ma znaczyć? Tylko mi nie mów, że twoja nowa żona od ciebie odeszła!

Odchylił się w fotelu i spojrzął na nią karcąco. Wiedziała, że utrafiła.

- No, no, no - powiedziała, przygryzając wargę, żeby ukryć uśmiech rozbawienia. - I to prawdopodobnie do młodszego. - Mike poczerwieniał. Dorzuciła: - Jak na ironię, role się odwróciły.

- Chyba tak - przyznał w końcu. - Właśnie, Jennifer mnie zostawiła. Pół roku temu zaczęła się spotykać z pewnym gościem, o czym naturalnie nie wiedziałem. No i wyjechała z nim. Definitywnie. Do Los Angeles. Chce rozwodu.

- Nie przejmuj się, Mike, jakoś sobie poradzisz. Ja sobie poradziłam.

- Maggie, czy nie możemy spróbować znowu? - poprosił.
- Zejdźmy się. Dzieci są jak najbardziej za tym. I jesteś mi potrzebna.

- Och, doprawdy? Może się zdziwisz, ale nie obchodzi mnie to, że jestem ci potrzebna. Także i to, co Peter i Hannah myślą, niezbyt mnie interesuje. Potraktowali mnie bardzo niesprawiedliwie. Mam teraz do nich taki sam stosunek, jaki oni mają do mnie, odkąd mnie porzuciłeś dla młodszej. Nie zapominajmy, co zrobiłeś.

- Nie bądź taka urażona i zawzięta! - wykrzyknął Mike, patrząc na nią prawie wrogo. - Daję ci szansę, żebyś zaczęła wszystko od początku, połączyła rodzinę na nowo, a ty to przyjmujesz tak, jakbym ci proponował samobójstwo albo morderstwo.

- Dobrze powiedziane, bardzo dobrze, doprawdy! - powiedziała Maggie. - Powrót do ciebie byłby samobójstwem! Mordowałeś moje ja przez lata, przez te wszystkie lata, Mike! Nigdy mi nie pozwalałeś być sobą.

- Czyżbyś chciała skończyć jako samotna staruszka, zdana wyłącznie na siebie? - Zapytał i umilkł, bo kelner przyniósł kawę.

Po odejściu kelnera Maggie powiedziała zimno:

- Ty głupi egoisto. Dlaczego, na Boga, myślisz, że jestem samotna? W istocie jestem mocno z kimś związana.

- To poważne? - Nie zdołał zdławić gniewu.
- Tak, najzupełniej. Spodziewam się wkrótce wyjść za mąż.
- Kim on jest?
- Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa. Rozwiedliśmy się, nie pamiętasz? - Maggie wstała i, odchodząc od stolika, mruknęła: - Do widzenia.

Z daleka zobaczyła Samanthę krążącą przy drzwiach. Zasalutowała jej, już uśmiechnięta. Czuła się wolna i szczęśliwa jak nigdy od lat. Za kilka dni będzie znów z Jake'em. I ze swoją przyszłością.

Rozdział 11

Jake musiał wciąż sobie przypominać, że dozwolona prędkość to tylko czterdzieści pięć mil. Jechał do Maggie i serce mu się do niej wyrывało.

Zadzwoiła do niego (miał telefon komórkowy), gdy tylko dotarła do swego domu w Kent z lotniska Kennedy'ego. Zapytał, czy może zaraz do niej przyjechać, odpowiedziała: tak, oczywiście. Chyba była rada, że słyszy jego głos, nawet podniecona, i to go cieszyło. Stęsknił się. Czy ona tęskniła do niego?

W ciągu dziesięciu minut podjechał pod jej dom.

Jeszcze zanim zgasił silnik, Maggie wybiegła z kuchni. Wprost sfrunęła z kuchennych schodków. Uśmiechała się.

- Cześć, najdroższa! - zawołał, zatraskując drzwiczki furgonetki. Prawie biegiem ruszył ku niej.

Spotkali się pośrodku podwórka. Wziął ją w ramiona i okręcił w kółko. Oboje się śmiali, gdy postawił ją z powrotem na ziemi. Spojrzał jej w oczy, rozpromieniony. Wykrzyknęła:

- Jake! Tak mi ciebie brakowało! Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo!

- Wiem. I mnie brakowało ciebie. - Znów wziął ją w objęcia i mocno pocałował w usta. A jak już zaczął całować, nie mógł przestać. Obsypywał ją pocałunkami - czoło, oczy, twarz, szyję. - Taki jestem szczęśliwy, że wróciłaś, Maggie.

- Wróciłam! Wejdźmy do domu, Jake. - Przechyliła głowę i spojrzała kokieteryjnie. - Mam coś dla ciebie.

- Naprawdę? - popatrzył pytająco.

Za rękę wprowadziła go do kuchni. Jej walizki jeszcze tam były, razem z płaszczem nieprzemakalnym i torbą. Wydobyła z torby paczkę, dała mu prezent, nagle onieśmielona i dziewczęca.

- To ze Szkocji.

Uśmiechnął się, tylko trochę zmieszany.

- Co to jest? - zapytał w końcu.

- Rozpakuj i zobacz - powiedziała.

Więc rozpakował. Ciepły sweter o grubym splocie z kremowej wełny. Podniósł wzrok na nią.

- Maggie, coś wspaniałego. Demoralizujesz mnie.

- Mam nadzieję, że będzie pasował. Musiałam zgadywać, jaki rozmiar nosisz. Elka, prawda?

Przytaknął i przyłożył sweter do siebie.

- Na pewno jest doskonały. Dziękuję, Maggie. - Przewiesił sweter przez oparcie krzesła, podszedł do niej, pocałował ją w policzek. - Dziękuję za to, że myślałaś o mnie, kiedy byłaś daleko.

- Ciągle myślałam, Jake.

Jej oczy powiedziały mu to, co chciał i musiał wiedzieć. Pochylił się, pocałował ją namiętnie.

Tuląc się do niego, potrzebując jego ciepła i miłości, też się roznamiętniła.

Po długiej chwili puścił ją i znów popatrzył jej w oczy.

- Możemy pójść na górę?

Przytaknęła.

Ręka w rękę weszli do sypialni.

Ich miłość była jeszcze płomienniejsza niż przedtem. Rozzebrali się i rzucili się sobie w objęcia, gorączkowo, wprost łapczywie. Na ich twarzach malowała się żarliwość i pragnienie.

Jake posiadał Maggie od razu, rozgrzaną, uległą, gotową dla niego tak, jak on był gotów dla niej. Wzlatywali splece-

ni, szepcząc swoje imiona, zatracając się we wzajemnym zadziwieniu.

Gdy w końcu opadli z przestworzy, Jake czuł się prawie wyczerpany.

- Och, Maggie - wykrztusił - nigdy dotąd nie było aż tak. Nigdy. Nigdzie. Nawet z tobą. Aż do teraz. - Oparł się na łokciu i spojrzął na nią. - To premiera.

Maggie uśmiechnęła się i dotknęła jego twarzy.

- Jake...

- Tak, najdroższa?

- Kocham cię... kocham cię bardzo... bardziej niż kogokolwiek kochałam.

- Maggie, Maggie. - Objął ją, przytulił. - Już dawno chciałem to usłyszeć od ciebie. Kocham cię. No, ale ty o tym wiesz. Powiedziałem ci pierwszej nocy.

- Chciałam ci już wtedy powiedzieć, ale wolałam się upewnić co do swoich uczuć.

- Teraz jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Cieszę się.

Maggie w jego objęciach dała się ponieść swoim myślom. W końcu się ocknęła.

- Jake - oznajmiła - mam dla ciebie niespodziankę.

- Mmm - mruknął sennie.

Spróbowała usiąść. Trzymał ją mocno, nie puszczał. Upomniała go łagodnie:

- Chcę wstać, Jake. Mam ci coś do powiedzenia.

- Więc powiedz.

- Chcę na ciebie patrzeć, kiedy będę to mówiła.

- Och! - Zaintrygowany, puścił ją i usiadł.

Przesunęła się przed niego, usiadła, oplotła rękami kolaną i wlepiła w niego wzrok.

- Więc mów już, najdroższa.

Uśmiechnęła się.

- Jestem w ciąży, Jake. Spodziewam się dziecka. Nasze-go dziecka.

Błogi uśmiech rozjaśnił mu twarz, oczy rozbłyły.
- Cudownie! Dziecko. Boże, Maggie. Naprawdę?
- Więc cieszysz się? - zapytała.
- No przecież. Zawsze marzyłem o dziecku. Mówiłem ci. Od kiedy wiesz? Kiedy ono się urodzi? Ciekawe, chłopiec czy dziewczynka? - Przez parę minut nie przestawał pytać.

Maggie odpowiadała na każde pytanie, uradowana, pełna ulgi, że właśnie tak zareagował.

Potem znów się kochali.

- Na cześć maleństwa - szepnął jej Jake do ucha.

A potem przytuleni zasnęli.

* * *

Jake obudził się mniej więcej po pół godzinie. Wstał z łóżka, poszedł do łazienki i wziął prysznic.

Gdy opasany ręcznikiem wrócił do sypialni, Maggie wkładała luźny jedwabny kaftan. Odwróciła się do niego i jak zawsze jego widok zrobił na niej wrażenie. Jakiż on urodziwy, te uduchowione zielone oczy, czarne włosy, teraz mokre po prysznicu, gładko przyczesane.

- Gapisz się - zauważył.

- Wiem. Przepraszam. Tylko miło mi znowu cię widzieć.

- Kusilo ją, żeby powiedzieć, jak Samantha w tamten pierwszy wieczór w teatrze w Kent nazwała go Tomem Cruise'em. Ale nie, to by mu nie było w smak. On nie lubi słyszeć, że jest przystojny i świetnie zbudowany.

Przeszła szybko przez sypialnię w kaftanie powiewającym za nią.

- Zrobiłam zakupy po drodze z lotniska, mamy steki i sałatę na kolację. Co ty na to?

- Wspaniale. Zaraz zejdę na dół. Jeżeli otworzysz butelkę Perriera, możemy ją wypić, kiedy będę piekł mięso na ruszcie.

- Załatwione - powiedziała i wyszła.

Zapiął guziki białej koszuli, włożył dżinsy i buty i zszedł na dół. Maggie już siedziała na tylnym tarasie przy stoliku

nad butelką Perriera w kubelku z lodem. Napełniła dwa kielichy, gdy usiadł naprzeciw niej.

- Zdrowie! - wykrzyknęli jednocześnie, trącając się kieliszkami.

Po solidnym łyku Jake powiedział:

- Na Plecakowym Wzgórzu wszystko dobrze, Maggie, tak jak ci mówiłem przez telefon przedwczoraj. I wiem, że Mark i Ralph składali ci sprawozdanie. Ale nie mogę się doczekać jutra, kiedy tam przyjedziesz. Będiesz zdumiona, przyjemnie zdumiona.

- Wyobrażam sobie. Chyba przyjadę dwa razy. Rano i wieczorem. Chcę zobaczyć oświetlenie Plecakowego Wzgórza o zmroku. Powiedziałeś, że jest już zainstalowane.

- Tylko prowizorycznie, żebyś zdecydowała. Jeżeli go nie zaakceptujesz, będzie można je zmienić. Moi chłopcy zrobią tak, jak ty zdecydujesz.

- Żałuj, że nie byłeś ze mną w Szkocji, Jake. Wyszukiwałam cudowne stare meble.

Przez jakiś czas rozmawiali o pracach na Plecakowym Wzgórzu, po czym weszli do kuchni. Maggie wyjęła z lodówki steki i sałatę. Postawiła salaterkę na tacy obok talerzy, noży, widelców i serwetek. Wynieśli wszystko na taras - Jake tacę, ona półmisek ze stekami.

* * *

- Rzadko widuję robaczki świętojańskie. - Maggie chwyciła Jake'a za rękę. - Popatrz! Tam! Te światełka pląsające w krzakach.

- Och, tak! - wykrzyknął. - Ja widziałem je ostatnio, kiedy miałem czternaście lat. Chodziłem z Amy do jej ciotki... - Urwał i wypił trochę kawy, nagle spięty.

- Dlaczego przerwałeś? - zapytała.

- To nic ważnego - mruknął i wstał. Zszedł z tarasu na trawnik.

Wyczuwając, że coś go dręczy, Maggie wstała i poszła za nim. Zrównała z nim krok, wzięła go pod rękę.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała niespokojnie.

Potrząsnął głową, ale nie zdołał powstrzymać westchnienia.

- Właściwie nie chciałem mówić o tym dzisiaj. Nie tak zaraz po twoim powrocie. Pragnąłem, żebyśmy tylko się cieszyli, że znów jesteśmy razem. Ale chyba muszę ci już powiedzieć. - Jeszcze raz westchnął, położył jej dłoń na ramieniu i spojrzał w oczy. - Maggie, mam naprawdę niedobłą wiadomość.

Wpatrywała się w niego.

- O czym?

- O Amy.

- Zwleka z rozwodem?

Znów potrząsnął głową.

- Nie, to nie tak, jak myślisz. Ale będzie zwłoka.

- Mówiłeś, że ona nie chce się z tobą rozejść, i nie powiem, że bym miała jej to za złe. - Maggie poczuła, że ulatuje z niej cała radość po tym cudownym powitaniu i spokojnej domowej kolacji we dwoje.

- Właściwie to nie... - zaczął Jake i umilkł. Zakaszła. - Kiedy ciebie nie było - powiedział cicho - dowiedziałem się, że Amy ma raka. Raka jajników.

- Och nie, Jake! To straszne! Tak mi przykro. Czy ją leczą?

- Chemią. Zaczęli na początku tego tygodnia. Może ta kuracja powstrzyma rozwój choroby.

- Miejmy nadzieję. - Maggie powoli odeszła, wiedząc, co on dalej powie. Znała go. Jake to człowiek przyzwyczajony, wrażliwy, pełen współczucia.

Dogonił ją i objął ramieniem.

- Muszę Amy pomagać, zrobić dla niej wszystko, co możliwe. Maggie, rozumiesz to, prawda?

- Tak. Naturalnie.

- Po prostu nie mógłbym teraz nalegać na rozwód.

- Rozumiem... - Maggie urwała, odetchnęła głęboko i zapytała spokojnie: - Przeniesiesz się z powrotem do New Milford? Będziesz mieszkał z Amy?

- Nie, nie przeniosę się. Jak mogło ci to przyjść do głowy? - wykrzyknął i obrócił ją twarzą do siebie. - Maggie, kocham cię, nie chcę cię utracić. Chcę tylko, żebyś rozumiała, że muszę jej teraz pomagać w miarę swoich możliwości, zwłaszcza materialnie. Mamy wspólne ubezpieczenie zdrowotne, nie mogę jej go zabrać. Gdybyśmy się rozwiedli, utraciłaby je. Jestem jej potrzebny. Zawsze była nieporadna jak dziecko, zawsze zdawała się na mnie. Kiedy tylko da się powstrzymać tę chorobę, poproszę ją znowu, żeby zobaczyła się ze swoim adwokatem.

Maggie przytaknęła, zaciskając wargi. Bała się odezwać, bo a nuż by powiedziała coś niewłaściwego. Nie chciała utracić Jake'a. Jej oczy napęłniły się łzami.

W mglistym, wieczornym świetle Jake zobaczył lśnienie na jej czarnych rzęsach i wziął ją w ramiona, przytulił jej głowę do swego ramienia.

- Nie płacz. Wiem, o czym myślisz. Myślisz o małenstwie.

- Tak - szepnęła w jego koszulę, nasiąkającą jej łzami.

- Czy wyjdiesz za mnie, Maggie? Wtedy, gdy to będzie możliwe?

- Wyjdę za ciebie, Jake. Kocham cię.

- Kocham cię i pragnę cię i naszego dziecka. Ale muszę trwać przy Amy. Dopóki ona nie poczuje się lepiej. Rozumiesz?

Maggie powiedziała:

- Gdybyś nie był takim człowiekiem, jakim jesteś, chyba bym cię nie kochała tak bardzo, jak kocham. Będę czekać na ciebie, Jake. Będę czekać.

Rozdział 12

Amy, to ja! - zawołał Jake, otwierając kluczem drzwi mieszkania. Pochylił się, podniósł pełne zakupów torby, które postawił na podłodze, żeby otworzyć drzwi, i wszedł do przedpokoju. Stał w drzwiach pokoju dziennego.

- Cześć, kochanie - powiedział z uśmiechem.

Amy siedziała w półmroku na kanapie i oglądała telewizję.

- Cześć, Jake - uśmiechnęła się słabo.

- Zaraz do ciebie przyjdę, Amy. Tylko zostawię te rzeczy w kuchni.

Przytaknęła, wtulona w kanapę. Cieszyła się, że widzi Jake'a, tylko jakoś nie miała siły tego okazać.

Jake stwierdził, że jest blada, mizerna chyba bardziej niż zwykle, ale nie zapytał, jak się czuje. Szybko wszedł do kuchni. Położył zakupy na stole i rozejrzał się wokoło. Od kilku tygodni w mieszkaniu utrzymywała porządek Mary Ellis, żona jednego z jego pracowników. Oddawała mu tę przysługę raczej z dobroci serca niż dla pieniędzy, przy tym spisywała się doskonale. W kuchni było czysto i ładnie, wszystko wprost lśniło.

Wrócił do pokoju dziennego, usiadł naprzeciw Amy.

- Co słychać? - zapytał, przyglądając jej się uważnie. Schudła, pomyślał.

- Zmęczona jestem, Jake, nawet wykończona - odpowiedziała.

- Przygotować ci coś, żebyś zjadła, zanim wrócę do pracy?

Pokręciła głową.

- Nie chce mi się jeść... Wcale mi się nie chce ostatnio. Ale ty coś zjedz.

- Nie, dziękuję. Nie mogę zbyt długo zostać. Muszę wrócić na teren możliwie jak najszybciej. Robimy specjalne instalacje. Kiedy masz znowu wizytę w szpitalu?

- Jutro. Mama mnie zabierze.

- Co mówi doktor? Jest już poprawa?

- Chyba tak. Jednak to nie znaczy, że nie umrę, Jake. Rzadko się zdarza wyjść z tej choroby. Wszyscy o tym wiemy - wyszeptała.

- Nie możesz być taka zrezygnowana, Amy - powiedział łagodnie, ale stanowczo. - I musisz podtrzymywać siły. Tym, że nie jesz, tylko sobie szkodzisz. Musisz porządnie się odżywiać. No, podać ci coś? Mnóstwo dobrych rzeczy kupiłem w supersamie. Najróżniejszych, które zawsze lubiałaś.

- Jake, nie chce mi się jeść... - zaczęła drżącym głosem i urwała. Nabrała tchu, otworzyła usta, ale nie powiedziała już nic. Łzy powoli spłynęły jej po policzkach.

Natychmiast wstał, podszedł i usiadł przy niej na kanapie. Przytulił ją do siebie.

- Nie płacz, Amy. Przyrzekłem, że będę się tobą opiekował, i dotrzymam słowa. Wszystko skończy się dobrze, poczujesz się lepiej. To jest ten trudny okres, wiesz, kurację trzeba przetrzymać. Osłabia cię, ale ostatecznie przywróci ci siły. A wtedy wyprawię ciebie i twoją mamę na Florydę. Będziesz miała piękne wakacje, obiecuję.

- Pojedziesz z nami, prawda, Jake? - zapytała przez łzy.

- Wiesz, że nie mogę. Muszę pracować, muszę pilnować, żeby roboty szły sprawnie. Nie mogę niczego zaniedbać własnie teraz.

- Ale ja bym chciała, żebyś mógł.

- Wiem. Posłuchaj, Amy, będzie ci przyjemnie wyjechać z mamą. Wam obu dobrze to zrobi.

- Jake...
- Tak, kochanie?
- Ja nie chcę umierać - wyszlochała na jego ramieniu. -
Boję się, myślę, że na pewno umrę. Ja nie chcę, Jake, boję się.

- Cii... cicho. Spokojnie. Pamiętaj, co ci mówię, najgorsze dla ciebie to tak się denerwować. Musisz być spokojna, musisz myśleć pozytywnie. Wszystko będzie dobrze, Amy. No już.

W końcu przestała szlochać i gdy się opanowała, Jake wstał i poszedł do kuchni, zagotował wodę na herbatę. Podał jej filiżankę na tacy i usiadł. Porozmawiał z nią jeszcze, mając nadzieję, że zdoła dodać jej bodaj trochę otuchy.

Jadąc do South Kent, Jake myślał o Amy. Robi wszystko, co może, żeby jej pomóc, ale ona przecież musi pomóc sobie sama. Jej lekarz powiedział, że ufnie nastawienie nieraz czyni cuda i że wielu chorych pokonało raka dzięki temu. Ale Amy zawsze była beznadziejną pesymistką. Och, gdybyż zrozumiała, że właśnie teraz powinna wziąć się w garść, postarać się myśleć pozytywnie, walczyć z chorobą, nie poddając się. Cóż, kiedy widzi wszystko jeszcze bardziej czarno niż kiedykolwiek przedtem, jest apatyczna i ponura. Wszelkie wysiłki podniesienia jej na duchu są daremne.

Dojeżdżając do domu na Plecakowym Wzgórzu, postanowił porozmawiać z matką Amy. Może będzie miała na nią większy wpływ.

Zaparkował furgonetkę i przed sprawdzeniem, co Ken i Larry zdziałali przy instalacjach zewnętrznych, wszedł do kuchni.

Teczka Maggie stała na podłodze, jej papiery leżały porozkładane na starym kuchennym stole, jak zwykle, ale jej samej nie było. Wbiegł na górę i zastał ją w głównej sypialni. Mierzyła ścianę.

Słyszając jego kroki, odwróciła się i uśmiechnęła.

- Dzień dobry! - Podeszła do niego.

Rozpromieniony, tak szybko wziął ją w objęcia, że nie zauważył jej zmarszczonych brwi i wyrazu zatroskania w oczach. Maggie wiedziała, jak bardzo on się szarpie, dzieląc swój czas na pracę, opiekę nad chorą Amy i na nią. Jest wyczerpany, to widać.

Tuląc ją, zapytał:

- Jak się czujesz? Jak się czuje maleństwo?

Uśmiechnęła się do niego.

- Oboje czujemy się pysznie, zwłaszcza kiedy widzimy ciebie. Byłeś u Amy?

- Tak. Zawiozłem jej trochę jedzenia.

- Jak ona się czuje, Jake? - zapytała, znów marszcząc brwi.

- Nie za dobrze. Klapnięta. Przygnębiona.

- Nic dziwnego. Straszne tak chorować. Jest młoda. Co za ciężka, smutna sprawa.

- Gdyby miała twoją żywotność, twój optymizm, Maggie, byłoby jej lżej.

Maggie przytaknęła i wysunęła się z jego objęć.

- Chodź, coś ci pokażę. - Celowo zmieniła temat, chcąc odciągnąć jego uwagę, rozweselić go, bo wydawał się zarażony ponurym nastrojem Amy.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na dół do jadalni.

- Patrz. Wczoraj ten stół przyjechał od antykwariusza w Nowym Jorku. - Ściągnęła ze stołu płachtę.

- Piękne drewno! - wykrzyknął Jake. - I to zabytek. Od razu można poznać.

- Dosyć stary. Dziewiętnasty wiek, z cisu.

Rozejrzał się.

- Ta jadalnia będzie ho, ho! - Podeszedł do ściany, na której przy próbce farby Maggie nakleiła próbki tkanin i dywanów. - Pomidorowa czerwień? - zapytał, wymownie unosząc brew.

Maggie się roześmiała.

- Właśnie. Kolor ketchupu Heinza zabiłony śmietaną. Dywan zielony jak avocado... Prawdopodobnie takie będą kolory.

Śmiał się razem z nią, ku jej uldze. Przynajmniej chwilowo oderwała go od myśli o chorobie Amy.

- Ostatnio coś zauważyłem - powiedział. - Kojarzysz kolory z jedzeniem.

- Jestem w ciąży, pamiętaj. Mam najrozmaitsze apetyty.

- Nie musisz mi przypominać. Po prostu nie mógłbym o tym nie pamiętać. - Pocałował ją w policzek. - Wyjdę teraz do moich chłopaków. Zjesz dziś u mnie kolację? Nakarmię cię jak należy.

- Rezerwacja potwierdzona - odpowiedziała Maggie z uśmiechem.

Rozdział 13

Słuchasz mnie, Amy? - zapytała pani Lang. Zerknęła na córkę i znów skierowała wzrok przed siebie.

- Tak, mam, słucham. Powiedziałaś, że Jake narzeka, że za bardzo poddaje się chorobie.

- Właśnie - mruknęła Jane Lang. - Mówi, że byłoby lepiej, gdybyś wychodziła z domu częściej, robiła wszystko, kiedy tylko czujesz się silniejsza i ból ustaje. Teraz cię boli, Amy?

- Nie, mam. Nie boli. Nie wiem, co on rozumie przez „wszystko”. Nie robiliśmy wszystkiego, kiedy byliśmy małżeństwem. On wciąż pracował, pracował, pracował, istny pracoholik.

- Co to znaczy, kiedy byliście małżeństwem? Jesteś nadal jego żoną, Amy, nie zapominajmy o tym. Tylko interesuj się Jake'em, a na pewno się zejdziecie. On cię kocha, kotku, i wiem, że ty go kochasz; to niedorzeczność, żeście się rozstali. Jest taki przyzwoity, od dziecka go lubiłam.

- Myślę, że on nie chce wrócić, mam.

- Raczej pomyśl, Amy, jak opiekuje się tobą, daje pieniądze, pomaga, najął kobietę do sprzątania na swój koszt. I załatwia zakupy. Kocha cię. To dla mnie nie ulega wątpliwości.

- Och, nie wiem. Może to po prostu ta jego przyzwoitość. On taki jest.

- Jaki, kotku?

- No, przyzwoity, mamó. Zawsze był dla mnie dobry, jeszcze w szkole. - Amy trochę się zniecierpliwiła.

- Dotychczas mi nie wyjaśniłaś, czemu się rozeszliście. Dlaczego zaraz rozwód? Jaki właściwie jest powód? - zapytała pani Lang.

- Szczerze mówiąc, ja naprawdę nie wiem, mamó. Chyba jakoś oddaliliśmy się od siebie. - Amy mówiła coraz ciszej, aż umilkła. Rzeczywiście nie wiedziała, jak doszło do takiej sytuacji.

- Możesz go zdobyć na nowo! To ci da cel. Tylko musisz porządnie się postarać, Amy, włożyć w to serce. Ty i Jake zawsze byliście dla siebie stworzeni, wielka szkoda, żeby to się miało skończyć. - Pani Lang westchnęła i przyhamowała na trudnym zakręcie śliskiej jezdni. - I szkoda, że nie macie dzieci. Nie wiem, dlaczego nie myślałaś o dzieciach. Słuchaj, Amy...

- I dobrze, że nie pomyślałam - przerwała Amy matce. - Teraz, kiedy umieram, co by się stało z tymi dziećmi? Siostry po matce zmarłej na raka w wieku dwudziestu dziewięciu lat i z ojcem zapracowanym w dzień i w nocy, nigdy w domu.

- Nie mów tak, Amy, bardzo mnie tym denerwujesz. I przecież nie umierasz. Doktor Stanfield powiedział, że jest z ciebie zadowolony.

- Powiedział?

- Oczywiście.

- Kiedy, mamó?

- Dziś po południu, kiedy się ubierałaś. Uważa, że następuje wyraźna poprawa.

- Wcale nie czuję poprawy - wymamrotała Amy. - Właściwie nic mnie nie boli, ale czuję się fatalnie, mamó. Naprawdę fatalnie. Mówiłam to cioci Violet w kuchni wczoraj, wiesz, kiedy smażyła kotlety. Poczęstowała mnie wódką, powiedziała, że wódka mi posłuży.

- Niepoprawny babsztyl! - wykrzyknęła pani Lang.

- Twoja siostra, mamó.

- Jesteśmy różne jak ogień i woda.
 - Chyba tak.
 - Ja wiem, że tak. W każdym razie, kotku, wyjedziemy w przyszłym miesiącu na Florydę. Będzie ci się tam podobało. Jake przypomniał mi o tym dzisiaj rano, kiedy telefonował. Pamiętasz, jak tatuś zabrał nas na Florydę? Miałaś wtedy sześć latek. Byłaś tam wszystkim zachwycona.
 - Może zobaczę Myszkę Miki, zanim umrę - burknęła Amy.
 - Przestań, Amy, przestań - syknęła matka.
 - Przepraszam, mamę. Ale naprawdę mam nadzieję, że jeszcze poznam Miki.
 - Z całą pewnością, z całą pewnością, kiedy pojedziemy do Disney World - powiedziała pani Lang, patrząc przed siebie. Deszcz już nie padał, ale było mokro. Amy jest zmęczona, pomyślała, powinna już być w domu. Zniecierpliwiona wyminęła toyotę, powoli wlokącą się przed jej samochodem.
- Tymczasem ciężarówka nadjechała z przeciwka drugim pasem jezdni. Oślepiąco błysnęła reflektorami, Jane odruchowo uniosła rękę, żeby osłonić oczy. Niezupełnie straciła przy tym kontrolę nad kierownicą. Ale nie miała szansy. Ciężarówka pędziła. Nastąpiło zderzenie czołowe.
- Amy usłyszała krzyk matki i brzęk tłukącego się szkła. Odczuła siłę tego zderzenia, rzucona najpierw w przód, a potem w tył, jak bezwładna szmaciana lalka.
- Mamę - powiedziała. Zrobiło się ciemno.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, Amy znalazła się na zewnątrz samochodu. Unosiła się w powietrzu tuż przed stłuczoną przednią szybą. Widziała matkę w samochodzie, wciśniętą za kierownicą w siedzenie. I siebie widziała siedzącą obok matki. Przynajmniej było tam jej ciało. Jakoś wiedziała, że obie, ona i matka, nie żyją.

Poniżej tłoczyli się ludzie. Był wśród nich kierowca ciężarówki, która uderzyła w samochód matki, zdrowy i cały,

i inni kierowcy samochodów zatrzymanych z powodu tego wypadku. Dało się słyszeć wycie syreny. Amy zobaczyła dwóch policjantów podjeżdżających na motocyklach.

Umieram, pomyślała. Nie, jestem martwa. Już umarłam i uleciałam z mojego ciała. Widziała swoje ciało. Unosiła się nad nim, patrząc w dół, na tę pustą powłokę.

Nie bała się. I nie miało dla niej znaczenia to, że nie żyje. Co więcej, czuła się szczęśliwa, wolna od wszelkiego bólu i smutku, bez żadnej już troski.

Ni stąd, ni zowąd coś ją w siebie wessało. Jak gdyby wciągnął ją wąż jakiegoś ogromnego odkurzacza. Była w tym wężu. Ale zaraz sobie uświadomiła, że to nie wąż, tylko długi tunel. Sunęła, popychana jakąś potężną siłą, ani trochę niespokojna, chociaż wiedziała, że nie żyje.

Na samym końcu tego długiego tunelu jaśniało maleńkie światełko. W miarę jak się tam zbliżała, stawało się coraz większe i jaśniejsze. Wkrótce wynurzyła się z tunelu, oswajając wzrok z jasnością. A było to światło niezwykle, wspinające. Otaczało ją, spowijało ciepłem, uszczęśliwiała bezgranicznie. Nigdy w życiu nie doznawała takich uczuć. Czerpała ciszę, spokój i bezinteresowną miłość z tej wszechogarniającej światłości.

Unosiła się, całkowicie nieważka. Zrzuciła swoje ciężkie ludzkie ciało, wstąpiła w inny świat, inny wymiar, i wiedziała, że jest czystym duchem.

Wkrótce uświadomiła sobie obecność innych duchów, unoszących się w cudownym świetle. Przekazywały jej swoją miłość i ciepło - nie słowami, a jednak wyraźnie. Odwzajemniała ich serdeczność i czuła, że jest im miła.

Światło się zmieniło, biały blask zabarwiły wszystkie kolory tęczy. Jakiś duch zaczął jej towarzyszyć i zrozumiała, że delikatnie ją prowadzi. Wiedziała też nie wiadomo skąd, że ten duch jest dawną duszą niejakiej Mariki. Dała się prowadzić Marice, czułej i kochającej.

Światło już tak nie olśniewało, coraz łagodniejsze. Ukazał się jej najpiękniejszy krajobraz, jaki kiedykolwiek

w życiu widziała. Piękno bez skazy, doskonałość, raj. Kraina bez cierpień. Kraina czystości i dobroci.

Teraz unosiła się nad zielonymi łąkami i lasami na zboczach wzgórz pełnych kwiatów, widziała migotliwie niebieskie jezioro. Wokół tej idyllicznej krainy wznosiły się góry o śnieżnych szczytach, iskrzących się, jak wszystko tutaj, w złocistym blasku słońca.

Wiele duchów unosiło się nad polankami tak jak ona. Widziała, że są duchy stare i młodsze. I nagle zobaczyła swojego ojca. Zdumiała się. Poznała, że to on. Ale chociaż był duchem, samą esencją, czuła jego szczególną ojcowską serdeczność, taką właśnie jego miłość, jaką pamiętała z dzieciństwa.

I zaraz przyleciał duch matki. Poczwała tę aurę promienną, pogodną, daleką od zgnieczonego ludzkiego ciała, które zostało za kierownicą rozbitego samochodu. Rodzice razem zbliżyli się do niej. I przemówili. Chociaż nie padły żadne słowa, usłyszała ich. Powiedzieli, że bardzo ją kochają. Powiedzieli, że czekają na nią, ale ona musi na razie wrócić na ziemię. „Jeszcze nie nadszedł twój czas - powiedziała matka. - To był mój czas, Amy, nie twój. Jeszcze nie”. Wielka miłość rodziców spowijała cudownym ciepłem, nie było czego się bać. Samo szczęście.

Marika, ta dobra dusza, wskazała jej dalszą drogę i wyjaśniła, że to konieczne, Amy musi polecieć dalej. Wkrótce znowu unosiły się we dwie w łagodnym świetle, aż dotarły do kryształowej groty, całej w promieniach wielkiej jasności.

I teraz, w tej grocie, były z nią duchy dwóch kobiet dawno żyjących i bardzo mądrych, chętnych, by trochę z ich mądrości spłynęło na nią, na Amy. Marika bez słów jej powiedziała, że ona teraz wszystko zrozumie, zrozumie świat i sens życia.

W grocie kryształowej, niewyobrażalnie wspaniałej, olbrzymie stalaktyty migotały białym blaskiem, mieniły się kolorami od bladożółtego do różowego i błękitu.

Oślepiąca klarownością światła, musiała oswoić z nim wzrok.

Ale po chwili już widziała wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. Widziała swoje minione życie, widziała siebie i pojęła natychmiast, dlaczego nic w tym ziemskim życiu jej się nie udawało. Była zawsze niechętna, apatyczna. Teraz rozumiała, ile zmarnowała możliwości, ile darów odrzuciła, przeciw jej zesłanych. Gdy te dwa kobiece duchy wyjaśniły jej to, poczuła skruchę i żal.

A potem zobaczyła Jake'a. Zobaczyła go w tej właśnie chwili zupełnie tak, jakby był przy niej. Ale on był daleko, w jakimś pokoju z kobietą, którą pokochał, kobietą oddaną mu całym sercem. Rozpoznała uczucie spełnienia i ciepło między nimi. I natychmiast zrozumiała jego życie. W przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości. Jego życie zobaczyła jak film.

Ale usłyszała bez słów od Mariki, że czas nagli i trzeba odlecieć z kryształowej groty. Nie chciała. Chciała tu zostać. Cóż, kiedy kierowana delikatnie przez Marikę, już odlatywała.

A więc musiała wrócić do tunelu. Opierała się. Pragnęła zostać tutaj, w tym raj, gdzie jest tylko spokój, szczęście i bezinteresowna miłość. Ale Marika jej nie pozwoliła. Bez słów powiedziała, że ona musi wrócić.

Tak więc zlatywała poprzez ciemność. W dali zostało w rozmigotanym innym wymiarze tamto światło.

Amy poczuła raptowne pchnięcie i z powrotem znalazła się na ziemskim padole, unosząc się ponad rozbitym samochodem matki i zatrzaśniętymi w samochodzie ciałami.

Zobaczyła kierowcę ciężarówki, innych kierowców i policjantów kręcących się przy samochodzie. Przyjechał ambulans, patrzyła, jak wyciągają matkę z samochodu i jak jej, Amy, ciało kładą na noszach.

Nagły straszliwy wstrząs i szum, Amy wróciła w swoje ciało.

Po długim czasie otworzyła oczy i zaraz je zamknęła. Była taka zmęczona, taka wyczerpana. Ból w głowie był okropny, jak gdyby ktoś walił młotem w jej czoło. Straciła przytomność.

* * *

Ciotka Violet Parkinson i jej córka Mavis rzadko odchodziły od łóżka Amy w szpitalu w New Milford. Jake przychodził, ale musiał wracać do swojego przedsiębiorstwa, do pracy. Z lękiem myślał, jak Amy zareaguje, gdy ostatecznie odzyska przytomność i dowie się, że w tym strasznym wypadku samochodowym straciła matkę.

Martwił go stan, w jakim była - ciężko ranna, potłuczona, i chociaż lekarze twierdzili, że nie ma obrażeń wewnętrznych, wciąż nieprzytomna.

Teraz, w trzeci wieczór po wypadku, Jake siedział przy łóżku Amy w szpitalu i trzymał ją za rękę. Na razie byli sami. Wyprawił ciotkę Violet i Mavis na kawę i kanapki w szpitalnej kawiarni, ponieważ siedziały przy Amy przez cały dzień.

Czuwając nad nią, obmyślał skomplikowane instalacje elektryczne na Plecakowym Wzgórzu, potem przez chwilę marzył o Maggie. Gdy nagle podniósł wzrok, ku jego zaskoczeniu Amy powiedziała:

- Chce mi się pić.

- Amy, kochanie! - wykrzyknął. - Bogu dzięki! Wyszłaś z tego!

- Byłam w jakimś innym miejscu, Jake - zaczęła szeptem. - Muszę ci o tym opowiedzieć.

- Dobrze, Amy. Byłaś trzy dni nieprzytomna. Powiedziałaś, że chce ci się pić. Przyniosę wody.

Wstał, gotów pójść.

- Jake!

- Słucham, Amy.

- Moja mama nie żyje.

Był tak zdumiony, że zaniemówił. Wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Nie mów mi, że tak nie jest, żeby mnie uspokoić. Ja wiem, że nie żyje.

Pochylił się nad nią.

- Pójdę po wodę i powiem doktorowi, że odzyskałaś przytomność, kochanie.

- Ja też umarłam, ale wróciłam. Dlatego wiem, że mama nie żyje. Widziałam jej duszę i duszę mojego ojca.

Usiadł z powrotem na krześle.

- Gdzie, Amy? - zapytał łagodnie.

- W raj, Jake. Tam jest tak pięknie. Pełno światła. Podobałoby ci się, bo zawsze cię interesowało.

Milczał. Znow siedział i tylko trzymał ją za rękę, nie wiedząc, co powiedzieć, wstrząśnięty do głębi jej słowami.

Westchnęła lekko.

- Mamie tam dobrze, jest teraz szczęśliwa. Z ojcem. Zawsze do niego tęskniła, wiesz.

- Tak - powiedział, nadal zbity z tropu. Zastanawiał się, czy to nie leki przeciwbólowe podziały tak na Amy. Z pewnością lekarze zrobili jej kilka zastrzyków, tylko jakich? Jest taka spokojna, taka opanowana - dziwne. Znał Amy przez większość swojego życia i nigdy by się nie spodziewał, że tak się będzie zachowywała po śmierci matki. Była z nią bardzo zżyta, dlaczego teraz nie histeryzuje? Właśnie, to chyba jakieś narkotyki... powiedziała przed chwilą, że sama też umarła, ale wróciła.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Amy potwierdziła spokojnie:

- Naprawdę umarłam, Jake. Możesz mi wierzyć.

Wpatrywał się w nią ze ściągniętymi brwiami.

Westchnęła.

- Jestem zmęczona. Chcę spać.

- Poproszę tu doktora, Amy. - Puścił jej rękę, wstał i podszedł do drzwi. - I powiem pielęgniarce, żeby ci dała wody.

- Dziękuję, Jake.

Skinął głową i wyszedł z separatki.

* * *

- To było niesamowite, Maggie - opowiadał później - kiedy Amy dziś wreszcie odzyskała przytomność i powiedziała, że jej matka nie żyje. Spodziewałbym się hysterii, a ona po prostu stwierdziła fakt. - Pokręcił głową i łyknął trochę piwa. - I powiedziała coś bardzo dziwnego... - Zawałał się. - Powiedziała, że matka jest z ojcem. W jakimś „inym miejscu”, w którym ona właśnie była. Nazwała to miejsce rajem. Przez całą drogę ze szpitala myślałem o tym. Skąd Amy wiedziała o śmierci matki, Maggie? Przecież od tamtej chwili była nieprzytomna. - Odetchnął głęboko. - To mnie zastanawia.

Maggie patrzyła na niego, milcząc. Odezwała się po długiej chwili:

- Może Amy rzeczywiście widziała matkę w jakimś innym miejscu, tak jak mówi.

- Nie nadążam za tobą - wyznał.

- Jest możliwe, że Amy miała doznanie na pograniczu śmierci.

- Doznanie?

- Tak. Od kilku lat mnóstwo się o tym pisze. Doktor Elisabeth Kubler-Ross, socjolog z Chicago, zatrudniona w szpitalu Billings przy tamtejszym uniwersytecie, najpierw napisała artykuł o umierających pacjentach, a później książkę „Rozmowy o śmierci i umieraniu”, która mnie wprost zafascynowała. Potem kilka następujących książek. Ona wierzy w te doznania na pograniczu śmierci. Sporo ludzi wierzy, Jake. Lekarze również. Doktor Raymond Moody w swojej książce także przedstawił to zjawisko. Autorytetem jest również doktor Melvin Morse, autor kilku książek na ten temat.

- Więc to znaczy, że Amy powiedziała mi prawdę?

- Bardzo możliwe. Zupełnie nawet prawdopodobne.

- Jak ty tłumaczysz takie doznania, Maggie?

- Nie potrafię ci powiedzieć... naprawdę za mało wiem, Jake - szepnęła Maggie. - Ale, jak już mówiłam, są o tym

dobre książki w księgarniach. Może powinienes którąś przeczytać. - Przytrzymując jego wzrok, zapytała: - Czy Amy opisała to miejsce, w którym była?

- Nie. Powiedziała tylko, że tam jest pięknie.

- Wspomniała coś o świetle?

- No tak. Skąd wiesz?

- Bo zawsze w doznaniach na pograniczu śmierci widzi się bardzo jasne światło. Ludzie czują się tak, jakby ich otulało. Niektórzy nawet mają wrażenie, że to światło ich przetwarza.

- Amy rzeczywiście mówiła, że mnie by się tam podobało, bo było pełno światła.

- I coś jeszcze?

- Nie. Chyba już nic.

- Kiedy dokładnie ci to powiedziała?

- Ledwie się obudziła... ledwie odzyskała przytomność.

- Więc chyba rzeczywiście to było doznanie na pograniczu śmierci. Z pewnością nie miała dość czasu, żeby coś takiego wykombinować, zmyślić taką historyjkę. W każdym razie głębokie omdlenie czy też śpiączka to podobno stany, w których się nie pamięta i nie myśli - wyjaśniła Maggie.

- Dobrze, powiedzmy, że Amy rzeczywiście miała takie doznanie. Co to właściwie oznacza? Dla niej?

- Przede wszystkim doświadczenie, na pewno tego nie zapomni. Ludzie, którzy przeżyli, nigdy tego nie zapominają, zostaje to w nich na zawsze, do końca życia. Oczywiście, jak wszyscy inni, oni też tego nie rozumieją i na ogół szukają jakichś specjalnych znaczeń z tym się wiążących. Co istotnie sprawia, że się zmieniają... Takie otarcie się o śmierć, migawka z życia po śmierci rzeczywiście odnosi skutek.

- Ty jednak dużo o tym wiesz, Maggie - zauważył Jake.

- No cóż, sama tego nie doświadczyłam, ale rozmawiałam z kilkoma takimi osobami. Wiesz, kiedy mieszkałam w Chicago, należałam do organizacji charytatywnej i przez trzy lata pracowałam w hospicjum dla śmiertelnie chorych. To właśnie tam się dowiedziałam. Ludzie opowiadali mi

o swoich doznaniach na pograniczu śmierci. Wyraźnie czerpali z nich ogromną pociechę.

- Więc ty wierzysz, że to prawda?

- Chyba wierzę, Jake. Nie odrzucam tego. Nie jestem tak arogancka. Tylko głupcy zbywają te sprawy wzruszeniem ramion. Czy można zadawać kłam doznaniom na pograniczu śmierci? Życiu po śmierci? Czy nawet idei reinkarnacji, na przykład? Przecież nikt z nas nic o tamtym świecie nie wie. Naprawdę nic. Już i na tym świecie za wiele jest rzeczy niewytłumaczalnych. Jestem ostatnią osobą, która by twierdziła, że zjawiska paranormalne nie istnieją. Czy też, że nie mogłyby się zdarzyć. Nie żywię żadnych uprzedzeń.

- Amy nie czyta dużo - przyznał Jake - więc na pewno o doznaniach na pograniczu śmierci nie dowiedziała się z książek.

Maggie przytaknęła.

- Od paru lat mówi się o tym w telewizji, ale nie wątpię, że Amy rzeczywiście miała jakieś doznanie. Wykluczone, żeby to wymyśliła.

- Dlaczego wykluczone?

- Sądząc z tego, co mi o niej opowiadałeś, Jake, nie ma na to dość wyobraźni.

- Racja - zgodził się, tłumiąc ziewnięcie.

- Och, Jake! - wykrzyknęła Maggie. - Oczy ci się kleją. Tyle tej pracy i jeszcze szpital. Idź już spać. Potrzebny ci wypoczynek, jutro musisz zerwać się wcześniej. Mamy na Plecakowym Wzgórzu spotkanie.

Przytaknął:

- Jestem dosyć zmęczony. Ale, dzięki Bogu, ostatnie projekty są gotowe. A wydawało się, że nigdy ich nie ukończymy.

Parsknęła śmiechem.

- A jakże. Ale czy Plecakowe Wzgórze nie wygląda teraz cudownie?

- Z pewnością. Dzięki tobie, moja ty Maggie.

Rozdział 14

Był złocisty dzień październikowy, rozmigotany słońcem. Kolor liści już się zmienił, drzewa pyszniły się obfitością miedzi i złota, rdzy i różu, jaskrawe w blasku słońca.

Amy napawała wzrok krajobrazem za małym domkiem Jake'a przy trasie 341. Wspaniale dzisiaj wszystko wygląda, myślała.

Takie kolory, że aż w głowie się kręci, tyle płomieni na tych drzewach. I niebo takie niebieskie. Ani jednej chmurki. Było dosyć ciepło, mogła zdjąć kurtkę już w czasie śniadania z Jake'em.

Wtuliła głowę w miękkie oparcie fotela i przymknęła oczy, ciesząc się, że słońce tak łagodnie przygrzewa. Siedziała zrelaksowana, spokojna.

Na początku tygodnia Jake ją zapytał, czym mógłby jej sprawić przyjemność. Zamarzył jej się piknik na wsi i powiedziała mu to. Wtedy on obiecał przywieźć ją tutaj, do swego białego, oszalowanego domku. Dzisiaj, ku jej radości, dotrzymał obietnicy. Tak miło zobaczyć, gdzie on mieszka teraz, gdy już nie są razem. I te okolice są piękne, drzewa za domem, ogród i dalej łąki. Jake pokazał jej nawet swoją pracownię w czerwonej stodole.

Słyszając jego kroki na ścieżce, otworzyła oczy i wyprostowała się.

- Proszę, kochanie - powiedział Jake. - Lody i szarlotka, tak jak sobie życzyłaś.

Uśmiechnęła się do niego.

- Rozpieszczasz mnie. Każda minuta tu jest przyjemna.

- Później kawa czy herbata?

- Herbata, jeśli mogę prosić, i dziękuję za ten deser. -

Spojrzała na lody. - Och, Jake, pamiętałeś, że najbardziej lubię pistacjowe pół na pół z malinowymi.

Uśmiechnął się, rad, że jest zadowolona. Chociaż się nie uskarżała, wiedział, że często ma bóle. Jeśli ten piknik ją cieszy, pozwala zapomnieć o cierpieniu, to bardzo dobrze.

- Zaraz wracam, kochanie - powiedział i ruszył do kuchni. - Nie czekaj na mnie z jedzeniem, będę tylko pił kawę.

Amy zjadła trochę lodów. Smakowały jej, ale nie mogła zjeść wszystkich. Nie miała apetytu, szarlotki też zjadła niewiele. Rozparła się w fotelu i czekała, żeby Jake wrócił do ogrodu.

Nagle usłyszała muzykę. Uśmiechnęła się, wiedząc, że on zelektryfikował ogród i zainstalował głośniki. Głos Kiri Te Kanawa śpiewającej arię „Vissi d'Arte” wzbijał się ku niebu. Przepiękny głos.

- Skąd to słychać? - zapytała, gdy Jake wrócił i podał jej herbatę.

- Śpiewające kamienie, tam, wśród kwiatów na klombie - wyjaśnił.

Roześmiała się zachwycona, więc też się roześmiał. Po chwili zapytał:

- Nie zjesz więcej, Amy?

- Dziękuję, już nie, ale było pyszne.

Wziął od niej talerzyk i z kubkiem kawy usiadł obok.

- Mam nadzieję, że ten piknik sprawił ci przyjemność.

- Och, tak, i to ładnie z twojej strony, że poświęciłeś mi swój wolny dzień. Wiem, jakie cenne są dla ciebie niedziele.

- Mnie też jest przyjemnie, Amy. Bardzo chcę ci pomóc, zrobić wszystko, żebyś czuła się lepiej.

Odwróciwszy się w fotelu, Amy popatrzyła na niego. Kochała go bardzo. Był jedynym mężczyzną w jej życiu... pokochała go, gdy miała dwanaście lat. Zawsze wydawał jej się kimś nadzwyczajnym, aż sama czuła się przy nim nadzwyczajna. I był taki dobry. Zawsze uważała się za największą szczęściarę pod słońcem, mając go, będąc jego żoną. Koleżanki jej zazdrościły, ale oczywiście dlatego, że był taki przystojny. Tylko ona zna go naprawdę, wie, jakim jest porządny człowiekiem.

- Tak się we mnie wpatrujesz, Amy - powiedział Jake. - O co chodzi? Mam twarz zabrudzoną?

- Nie. Tylko myślałam, jak długo się znamy. - Umilkła, odchrząknęła i zaczęła uroczyście: - Mavis zabrała mnie w piątek do adwokata. Jake, ja...

- Ależ, Amy, nie musisz teraz kłopotać się rozwodem. Najpierw wyzdrowiej.

- Widziałam się z nim wcale nie w sprawie rozwodu. Rozwód nie jest konieczny.

Patrzył na nią, niepewny, co na to powiedzieć.

- Ja umieram, Jake. Nie doczekam przyszłego roku... Wiem...

- Ależ, Amy, doktor mówi, że następuje poprawa! - przerwał jej szybko.

Amy potrząsnęła głową.

- Może on tak myśli, ale ja wiem, że nie. W każdym razie byłam u adwokata, bo chciałam spisać testament. To konieczne teraz, kiedy mama nie żyje. Zostawiła mi swój dom w New Milford, meble i w ogóle wszystko, co miała. I trochę pieniędzy. Więc sporządziłam testament i wszystko zapisałam tobie.

Jake patrzył na nią oniemiały. Po długiej chwili zapytał:

- A ciocia Violet i Mavis? Przecież to twoje najbliższe krewne.

- Nie. Ty jesteś najbliższy, Jake. Jesteś moim mężem. Jesteśmy nadal małżeństwem, chociaż nie mieszkamy ra-

zem. Więc jako twoja żona zostawiam ci cały mój ziemski dobytek. Poza kilkoma rzeczami dla cici i dla Mavis, wiesz, trochę biżuterii mamy, porcelana, takie tam pamiątki. Chcę, żebyś wszystko poza tym miał ty.

- Nie wiem, co powiedzieć - zaczął i nagle umilkł.

Uśmiechnęła się do niego słabo.

- Nie musisz nic mówić, Jake.

- Jeśli tak chcesz, to dziękuję ci, Amy - wymamrotał, nie znajdując innych słów.

- I coś ci powiem... Chcę cię przeprosić, Jake, bardzo żałuję, że byłam niedobrą żoną.

- Amy, na miłość boską, nie byłaś niedobrą żoną! - wykrzyknął. - Zawsze robiłaś, co tylko mogłaś, przecież wiem.

- To, co mogłam, nie wystarczało. Nie nadawałam się dla ciebie, Jake. Zawsze byłam wszystkiemu przeciwna, ślamazarna, nigdy ci nie pomagałam, kiedy starałeś się, żebyśmy mieli lepsze życie. Wszystko robiłam nie tak jak trzeba, naprawdę żałuję.

Patrzył na nią w milczeniu, znów nie znajdując słów.

Powiedziała:

- Ja naprawdę umarłam tamtego wieczora w samochodzie. Opuściłam swoje ciało. To znaczy, opuściła je moja dusza czy też mój duch, jeżeli wolisz tak to nazwać. Przeniosłam się w inny świat. I zobaczyłam mojego ojca. Potem mama przyłączyła się do niego. Stąd wiedziałam, że nie żyje. I jakaś inna dusza, dusza jakiejś starej damy, opiekowała się mną, zabrała mnie do kryształowej groty mądrości. Tam przyjęły mnie dwa duchy mądrych kobiet i wytłumały mi wszystko. Pokazały, w jakim byłam błędzie. Zobaczyłam całe moje życie, Jake, zobaczyłam moją przeszłość, zobaczyłam twoją.

Jake milczał.

- Teraz już nic nie mogę w moim życiu zmienić - ciągnęła - bo nie mam na to czasu. Stałam się osobą, jaką powinienam być, i muszę się postarać naprawić, co tylko się da. - Odchyliła się w fotelu i spojrzała Jake'owi w oczy. -

Ty nie dowierzasz, prawda? Ja poważnie mówię, że umarłam i wróciłam.

- Nie, w zasadzie ci wierzę - odpowiedział. - Wiem, że inni mieli podobne doznania i nawet napisano o tym kilka książek.

- Nie wiedziałam, chociaż i tak nie myślałam, że to się mogło zdarzyć tylko mnie.

- To, co ci się zdarzyło, nazywa się doznaniem na pograniczu śmierci, Amy.

Skinęła głową i zamknęła oczy. Po chwili je otworzyła. Wychyliła się z fotela do Jake'a.

Zamrugął. Nigdy dotąd nie widział jej oczu tak błyszczących i pełnych życia. Uśmiech rozjaśniający jej twarz był wprost promienny.

Powiedziała:

- Nie tylko widziałam moją i twoją przeszłość. Widziałam też twoją przyszłość. Mojej nie widziałam, bo ja nie mam przyszłości. Przynajmniej na tym świecie.

- Widziałas moją przyszłość?

- Tak. Jest w twoim życiu, Jake, jakaś kobieta, bardzo ją kochasz. Trochę od ciebie starsza, ale to nieważne. Ty i ona jesteście sobie przeznaczeni. I zawsze byliście, całe twoje dotychczasowe życie było wędrówką do niej. A jej życie było wędrówką do ciebie. Kiedyś byliście duszami, które się połączyły w jedność, a potem zostaliście rozdzieleni. Życie i jej, i twoje było usiłowaniem, żeby się zejść z powrotem. Kiedy wreszcie się spotkaliście, znów staliście się całością. Zawsze na niej polegaj, Jake.

Otworzył usta, ale żadne słowa się z nich nie dobiły.

- Ta kobieta - powiedziała Amy - druga połowa twojej duszy, spodziewa się dziecka. Jest w piątym miesiącu ciąży. Dziecko ma przyjść na świat w lutym. Chłopiec, będziesz miał syna, Jake, tak jak zawsze chciałeś. Przed tobą jest dobra przyszłość. Będzie ci się powodziło, miałaś rację, że chciałeś otworzyć własną firmę. Wszystko pójdzie świetnie, a ta kobieta, oddana ci całym sercem, będzie twoją żoną i współpracowniczką. Zdobędziesz wszystko to, czego zawsze

chciałeś, tylko że przy mnie nie udało ci się tego osiągnąć. Ale uważaj, żeby sukcesy ciebie nie zmieniły ani nie przewróciły ci w głowie. Jesteś bardzo porządnym człowiekiem. Musisz zawsze trzymać się swoich zasad.

- Amy, nie wiem, co powiedzieć. To prawda, poznałem pewną kobietę. W kwietniu. Nie mówiłem ci o niej, bo nie chciałem, żeby ci było przykro.

- Nie tłumacz się, nie trzeba. Ja ci sprawiałam przykrości. Zobaczyłam to i musiałam wrócić, żeby naprawić błąd, pomóc ci na przyszłość.

- Jak pomóc?

- Wskazać ci drogę, którą powinieneś zdecydowanie iść. Już w nią wyruszyłeś z towarzyszką swojej duszy. Ona jest silna, mądra i musisz zawsze słuchać tego, co mówi. - Amy sama sobie przytaknęła. - Właśnie. Korzystać z jej rad. I powinieneś też zdawać się na swój instynkt. Zwykle masz rację. Ufaj sobie bardziej niż dotąd.

- Mój Boże... - zaczął Jake i urwał. Amy patrzyła na niego uważnie. Jest śliczna, stwierdził. Wydawało mu się, że w tym momencie uległa zadziwiającej przemianie. Twarz miała promienną, jasnoniebieskie oczy roziskrzzone, nawet jej kędzierzawa blond peruka wyglądała naturalnie.

- Teraz na mnie kolej, żebyś zapytała, dlaczego się we mnie wpatrujesz - powiedziała.

- Wyglądasz promiennie.

- Bo jestem promienna. W duchu. Przyrzeknij mi coś, Jake.

- Dobrze, Amy. Tylko powiedz co.

- Przyrzeknij mi, że ożenisz się zaraz po mojej śmierci. Nie chcę, żebyś wyznaczał sobie okres żałoby. To byłoby fałszywe, bo jesteśmy w separacji już prawie dwa lata. - Umilkła na chwilę i spojrzała mu prosto w oczy. - Dłużej, jeżeli się doliczy tyle tych lat, kiedyśmy mieszkali razem i nie było między nami zrozumienia. Przyrzekasz?

Jake niemo skinął głową.

- Myślę, że umrę wkrótce, Jake.

- Och, Amy...
- Coś jeszcze muszę ci powiedzieć. Najważniejszą rzeczą jest miłość.
- Wiem, że masz rację, Amy.
Z promiennym uśmiechem ciągnęła łagodnie.
- I nie boję się umrzeć, Jake. Już nie. Rozumiesz, przekonałam się, że po śmierci jest życie. Nie takie, jakie znamy tutaj, życie w innym wymiarze. Chętnie zrzucę z siebie ciało, wtedy mój duch będzie wreszcie wolny...

Rozdział 15

Maggie wyglądała przez okno w kuchni, zastanawiając się, co zatrzymało Jake'a. Śnieg padał obficie, małe krysztalowe płatki przywierały do szyby. Zawsze była o Jake'u niespokojna, gdy pogoda nie dopisywała. Jezdnie mogą być śliskie...

Jest duży ruch przedświąteczny, doszła do wniosku, to go zatrzymuje. Obiecał przyjechać o drugiej, ale może musiał dłużej zostać w teatrze w Kent. Na prośbę Samantha pojechał tam, żeby sprawdzić jedną z instalacji, która zawiodła wczoraj wieczorem. Nikt z personelu nie wiedział, jak ją naprawić. Ponieważ Jake projektował oświetlenie, one obie, Samantha i Maggie, wiedziały, że na pewno rozwiąże ten problem.

Maggie myślała przez chwilę o „Czarownicach z Salem”. Premiera odbyła się we wrześniu i, ku zdumieniu i radości wszystkich, ta sztuka wciąż jeszcze nie schodziła z afisza i w weekendy wszystkie miejsca były wyprzedane. Samantha, producent i właściciel teatru mogli sobie gratulować.

Maggie odeszła od okna. Ostatnio chodziła wolniej. Zaczął się siódmy miesiąc ciąży. Dziecko, chłopiec, miało się urodzić za dwa miesiące. Była brzuchata, coraz bardziej ociężała.

Usiadła przy kuchennym stole i sprawdziła listę prezentów. Prawie wszystko na Gwiazdkę kupiła znacznie wcze-

śniej. Dzisiaj, w sobotę, szesnastego grudnia, stwierdziła, że już nie trzeba niczego dokupywać, obarczać tym Jake'a. Jej brakowało energii, żeby tłoczyć się w sklepach, w dużych sklepach w każdym razie.

I przynajmniej nie będzie musiała wiele gotować. Na Boże Narodzenie zaprosiła ich Samantha. To wielkie święto, oczywiście. W wigilię oni będą gościć u siebie Samanthę i część zespołu teatralnego. Przyjęcie *a la fourchette* nie wymaga specjalnych przygotowań.

Ciężko wstała od stołu i przeszła do małego saloniku. Ubierali choinkę stopniowo przez dwa tygodnie - stopniowo, bo Jake zajęty swoją pracą, a ona niezdarna, ociężała.

Uśmiechnęła się i położyła ręce na brzuchu. Maleństwo jest jej skarbem. Jej i Jake'a. Jake wprost nie może się doczekać narodzin dziecka i szaleńczo ją rozpieszcza. Obchodzi się z nią tak, jakby była ze szkła.

Podeszła do choinki, krytycznie przyjrzała się ozdobom, uznała, że nadal jest ich raczej za mało. Może dzisiaj znajdzie czas, żeby wstąpić do Silo, dokupić jeszcze trochę złotych i srebrnych sopli, złotych aniołków i owoców. Choinka cała w srebrze i złocie, gdzieniegdzie z akcentami czerwieni i błękitu. Efektowne, pomyślała.

Powoli poszła z powrotem do kuchni i znów stanęła przy oknie, czekając na Jake'a, pragnąc, żeby już wrócił. Po długiej chwili odeszła od okna, włączyła radio.

„Chwała na wysokościach, a pokój na ziemi” - śpiewał kobiecie głos.

Ale usłyszała coś innego - furgonetkę zajeżdżającą na podwórko. Ruszyła do drzwi kuchennych.

Jak zawsze na widok Jake'a, nawet po jego krótkiej nieobecności, poczuła jakiś skurcz w żołądku. Aż tak jest zakochana? Czasami obawiała się, że kocha go za bardzo.

- Cześć, najdroższa! - Jake wielkimi krokami szedł do niej.

Nie przejęła się tym, że naniósł sporo śniegu na podłogę.

- Cześć, kochanie - odpowiedziała rozpromieniona. - Już zaczynałam się niepokoić. Co cię zatrzymało tak długo?

- Ta głupia instalacja mojego pomysłu. - Objął ją i pocałował w policzek.

- Och, Jake, twarz i ręce takie zimne! Dlaczego nie nosisz rękawiczek i szalika?

Uśmiechnął się do niej jak mały chłopiec.

- Przestań się martwić o mnie. Czuję się doskonale. W każdym razie ta instalacja wytrzyma dziś wieczorem i jutro. Ale chyba w przyszłym tygodniu będę musiał wymyślić coś innego. Samantha mnie zabije, jeżeli tego nie udoskonale, a do doskonałości daleko.

- Napijesz się kawy?

Potrząsnął głową.

- Lepiej jedźmy od razu. Śnieg pada gęsty i twardnieje. Będziemy jechać do New Milford co najmniej pół godziny. Masz roślinę dla Amy?

- Stoi tam, na blacie.

Jake podszedł do doniczki.

- Ładnie to przybrałaś, Maggie, tą niebiesko-srebrną kocardą.

- Ruszamy, Jake?

- Tak. Przyniosę ci płaszcz.

Śnieg już nie padał, gdy dojechali do New Milford, słońce świeciło, niebo było jaskrawoniebieskie.

Maggie mocno trzymała Jake'a pod rękę. Bała się pośliznąć, idąc po zamarzniętym śniegu, pokrywającym alejkę.

- To tutaj - powiedział Jake. - No, najpierw rozpakuję. - Zsunął papier z rośliny, schował go do kieszeni i postawił wiecznie zielone karłowate drzewko na świeżym grobie.

Wyprostował się i objął Maggie.

- Rad jestem, że tu przyjechaliśmy - powiedział cicho. - Przynależem jej to. Powiedziała: „Odwiedźcie mój grób po

waszym ślubie, kiedy tylko będziecie mogli". I chciała, żeby jej to przyrzekł.

- Już jest w spokoju - szepnęła Maggie. - Daleko od cierpienia i bólu.

Przytaknął.

- Jej dusza jest wolna. Amy ani trochę nie bała się umierać.

Maggie zdjęła rękawiczki. Pochyliła się nad grobem i poprawiła niebiesko-srebrną wstążkę przystrajającą drzewko. Złoto grubej obrączki ślubnej na jej palcu zalśniło w blasku popołudniowego słońca.

- To dlatego, że wiedziała, dokąd odchodzi - szepnęła.

Jake znów przytaknął i opiekuńczo objął żonę. We dwoje, milcząc, stali przy grobie, zamyśleni. Jake myślał o Amy, która zmarła dwa tygodnie temu. Znał ją od dzieciństwa, była jego szkolną miłością. Potem jakoś wszystko między nimi poszło na opak. A jednak w końcu zostali przyjaciółmi. To dobrze, bardzo dobrze, że mógł się nią opiekować u kresu, pomagać jej nie poddawać się chorobie. Był przy niej w chwili śmierci. Raz na zawsze zapamiętał jej ostatnie słowa: „Niech cię Bóg błogosławi, Jake. I towarzyszkę twojej duszy, i dziecko”.

W tydzień po śmierci Amy ożenił się z Maggie, dotrzymując danego słowa. Sam zresztą chciał tego i wiedział, że Maggie chce. Ślub odbył się w domu Samantha w Washington. Samantha postarała się, żeby ślubu udzielił miejscowy sędzia, przyjaciel jej rodziny. Świadkami byli ona i Alice Ferrier, projektantka kostiumów dla zespołu dramatycznego.

Jake wiedział, że nigdy nie zapomni ubiegłej soboty. Dnia ich ślubu. Maggie wyglądała tak pięknie, taka była pełna życia. W luźnej wełnianej sukni, niebieskiej jak jej oczy, niewiele dokładała wysiłku, by ukryć swoją siedmioletnią ciążę. Nikogo zresztą fakt jej ciąży nie raził. I oczy miała pełne łez, gdy sędzia ogłosił ich mężem i żoną. Oboje byli bardzo wzruszeni tamtego poranka, wzruszeni jeszcze długo potem.

Samantha podała lekki obiad. Obsada „Czarownic z Salem” wzniosła toast na cześć państwa młodych i złożyła im życzenia wszystkiego najlepszego, zanim odjechała na spektakl w teatrze w Kent. To był wielki dzień w jego, Jake'a, życiu.

- Chyba już pójdziemy, Maggie. Znowu zaczyna prószyć śnieg.

Razem ruszyli alejką do bramy cmentarza. W pewnej chwili Maggie spojrzała na niebo i zobaczyła wysoko w górze rozpięty łuk tęczy. Był niewyraźny, ale był. Zamrugła, trochę oślepiąca blaskiem słońca. Gdy znów spojrzała, tęczy już nie zobaczyła.

Trzymając Jake'a pod rękę, powiedziała cicho:

- Cykl życia jest nieskończony i nigdy się nie zmienia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Jake i popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Była śmierć... wkrótce będą narodziny. Tak to jest. Zawsze. Jedna dusza odchodzi na odpoczynek, nowa przychodzi na świat.

Przytaknął. W milczeniu wyszli z cmentarza i wsiedli do dżipa. Zanim włączył silnik, pocałował żonę w policzek.

- Kocham cię, moja ty Maggie. - Położył dłoń na jej wypukłym brzuchu i dodał: - I kocham nasze maleństwo. Urodzi się dobrze pobłogosławione.

- Och, wiem o tym. - Uśmiechnęła się. - Jedźmy, kochanie. Czas do domu.

Do domu, pomyślał Jake. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Do domu.